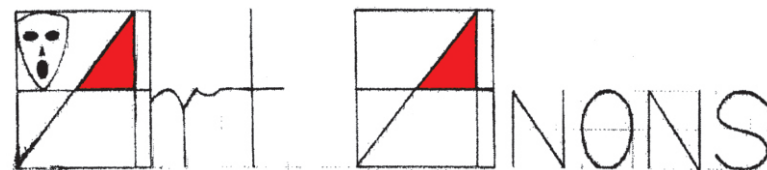




rys.: Marcin Malicki



M A G A Z Y N K U L T U R A L N Y +

NR 1

STYCZEŃ 2007

K I C Z W S E R C U

Żyjemy w społeczeństwie, w którym produkt masowy zawładnął naszym światem i naszym ja. Człowiek staje się niewolnikiem rzeczy i to one określają jego a nie on określa je. Jesteśmy tworem konsumpcjonizmu, w którym granice pomiędzy światem kultury wysokiej i masowej zamazują się coraz bardziej. Świat sztuki i świat kiczu przenikają się nawzajem. Jak powiedział Broch „Odrobina kiczu jest w każdej sztuce” gdyż kicz to sztuka piękna. Jednak specyfika tego piękna polega na prostocie przekazu. Odbiorca kiczu nie musi wysilać się nad ogarnięciem wszystkich głębokich struktur dzieła bo dzieło ich nie posiada. Kicz należy do tej grupy zjawisk, które określamy intuicyjnie, pełen jest niuansów i bezsprzecznie jest tworem kultury. Istnieje cała masa zjawisk, które ocierają się o kicz, ale nie do końca nim są i trudno jest przydzielić je do jakiejś kategorii. Balansują na granicy dobrego smaku i mody, kiczu i stylu. Moles stwierdził kiedyś, że kicz jest sztuką szczęścia. Jest cechą „społeczeństw obfitości”, doskonale znajduje się w towarzystwie przepychu i dobrobytu. Mieszkaniem kiczu jest głównie miasto.

Kicz dotyka różnorodnych dziedzin: filmu, muzyki, sztuk pięknych, mody, architektury, literatury, religii i tak dalej. Największą trudność sprawia ocena poziomu „kiczowości” w dziełach, które nie są elementem naszej kultury rodzimej. Bo czy kino Bollywood jest kiczem? Czy sztuka tatuażu to sztuka czy powinniśmy spojrzeć na nią, jako na płytkie naśladownictwo kultury, dla których tatuowanie stanowi np. o hierarchii społecznej?

Kultura masowa jest przyjaciółką kiczu, kicz związany jest z tzw. „bezstylowością stylu”. Kicz kocha szybko przemijające mody, nadmierną ornamentykę, kolory, skomplikowane formy. Sprzyjają mu media i reklama, czas wolny, szybka i bezmyślna konsumpcja i niewyrafinowana rozrywka.

Kicz pozwala odetchnąć, oderwać się od rzeczywistości, zaspokoić potrzebę doznań. Nie wymaga wysiłku ani czasu. Jest idealnym kompanem współczesnego człowieka, który większość czasu poświęca na karierę zawodową, wobec czego, aby odpocząć potrzebuje szybkiej i prostej rozrywki. Kicz napływa do nas ze wszystkich stron; są nim zarówno kolorowe coraz nowsze i ulepszone telefony komórkowe, które nie dość, że dzwonią i grają to jeszcze służą jako, powiedzmy, puderniczki. Kiczem są cacka kawaii, ale jednak powstają filmy anime, które można uznać za dzieła sztuki filmowej. Kicz jest wszechobecny. Nie potrzebuje pochwał – sam w sobie jest na tyle atrakcyjny, że zawsze znajdzie miłośników. Kicz w swej prostocie sycąc zmysły człowieka tanim kosztem daje mu szczęście. I choćby przeciwnicy kiczu wypowiedzieli mu wojnę on i tak przetrwa.

Zapraszam zatem naszych czytelników do wspólnych rozważań nad kiczem, jego istotą i obecnością w otaczającym nas świecie. Właściwie okładka tego numeru, z racji tematu, powinna być różowa, ale pozostaliśmy przy czerni i bieli.

redaktor naczelna
Matylda Sęk

Nr 1 / 2007
Str. 1 / 46





Tym razem zaproponowaliśmy temat nieco prowokacyjny –
„KICZ JAKO SZTUKA SZCZĘŚCIA”

*Do dyskusji zaprosiliśmy profesora **Włodzimierza Wójcika**, historyka literatury, **Dorotę Agnoletto**, kompozytorkę i dyrygentkę, **Czesława Gałuźnego**, artystę plastyka. Rozmowę prowadził **Tomasz Kostro**.*

P
R
Z
Y

K
A
W
I
E

toko

Kicz, jako sztuka szczęścia. A może kicz to sztuka tworzenia ułudy szczęścia?

Termin „kicz” choć obecny w języku od dawna, używany – może nawet nadużywany – nie ma precyzyjnej słownikowej definicji. W „Słowniku terminów literackich” Stanisława Sierotwińskiego na przykład nie występuje w ogóle. „Słownik wyrazów obcych” stwierdza krótko: lichy, bezwartościowy obraz. I tylko tyle. Zawęża więc znaczenie terminu do sztuk plastycznych, a przecież posługujemy się powszechnie tym słowem w odniesieniu do muzyki, literatury, do wszelkich dziedzin sztuki, sztuki kulinarnej nie wyłączając.

Proszę, spróbujmy określić, o czym mamy rozmawiać?

Dorota Agnoletto

Pojęcie kiczu nam Polakom w pierwszej spontanicznej reakcji wiąże się z wiszącą u babci makatką, z klasycznym jeleniem na rykowisku wyjącym przy pełni księżyca lub z kuchennymi firaneczkami z wyszytym niebieskimi literkami na białym tle napisem „świeża woda zdrowia doda” czy czymś w tym rodzaju. Z czasów mojego późnego dzieciństwa i podróży z rodzicami przypominam sobie intrygujące zapowiedzi na dworcach kolejowych „obywatelu myj ręce przed podróżą”.

toko

To kicz w propagandzie.

Dorota Agnoletto

No właśnie. To coś, co nazywamy kiczem jest wszechobecne.

toko

Aż mnie korci, żeby rozwinąć ten temat, zwłaszcza wobec ledwie co minionej pewnej rocznicy, ale gryzę się w język. Dlaczego kicz jest tak powszechny?

Czesław Gałuźny

Ponieważ na kicz, czyli na sztukę tworzenia pozorów szczęścia, istnieje ogromne i rosące zapotrze-

bowanie. Współczesna cywilizacja, nieograniczone możliwości produkcyjne, techniczne i technologiczne umożliwiają masowe zaspokajanie tego popytu. Współcześnie nawet arcydzieło bardzo łatwo zamienia się w kicz. Powielany w nieskończoność portret powiedzmy, Mony Lizy, na podkolorowanych reprodukcjach, na breloczkach do kluczy, na kubkach, okładkach zeszytów, serwetkach stołowych i co tam jeszcze wymyślą specjaliści od takiej masówki staje się kiczem. Do niedawna przemysł pamiątkarski w tym przodował. Dziś już atakuje nas zewsząd: z półek sklepowych, głośników radiowych, z ekranu, z wystaw.

Włodzimierz Wójcik

Jestem otwarty na świat; to powinność humanisty-profesora. Nasłuchałem się sporo opinii o kiczu. Same oczywistości. A więc kicz to lichy, bezwartościowy utwór literacki czy też plastyczny. Cechuje go tandetna łatwość konstrukcyjna, brak głębi. Widać w nim „piękno”, ale piękno uznane przez większość, przez pospólstwo. Dzieło „milutkie”, wielokrotnie przesłodzone, niosące ukojenie i spokój. Kicz pokazuje świat, lub światek, wymarzony, a nie rzeczywisty. Jest to po prostu sztuka „szczęścia”, szczęścia, którego szary, prosty człowiek zazwyczaj bardzo łaknie...

Oczywiście takiego spokoju i poczucia bezpieczeństwa nie niosą takie dzieła, jak *Nike z Samotraci*, okaleczona przez Historię *Wenus z Milo*. U Grünewalda, Dürera czy Francisco Goyi piękno bezustannie przeplata się z tragedią, dramatem i cierpieniem. Tu nie ma „makatkowego” piękna. A jednak...

Jest w dobrym tonie – oczywiście w pewnych kręgach społeczno-zawodowych – wyszydzać kicz. Któż bowiem nie chce uchodzić za konesera sztuki? A przecież kicz istnieje, funkcjonuje, nie można zamknąć oczu oczekując, że zniknie z pola widzenia. Istnieje; jest zjawiskiem społeczno-psychologicznym.

Czy należy za wszelką cenę odżegnywać się od kiczu? Ludzie na pewnym poziomie, ludzie myślący, nie zmanierowani z pewnością tego nie będą czynić. Robią to „nuworysze”, tępi nowobogaccy. Dla świętego spokoju gotowi pozbyć się na przykład uroczego obrazu *Kobieta z wachlarzem* Franciszka

„KICZ JAKO SZTUKA SZCZĘŚCIA” – CD



Żmurki, na rzecz „jakiegoś tam” Mondriana – bo tak wypada, jest w dobrym tonie w danym momencie.

Dorota Agnoletto

Mnie się nasuwa ogólnie znana (choć rzadko znana dokładnie) nasza narodowa pieśń biesiadna „Góralu czy ci nie żal” wyta gromadnie przez towarzystwo festujące różnorodne nadające się do świętowania okazje. Pieśń powyższa szła w parze z „Szła dziewczeczka do laseczka” oraz – gdy nastrój robił się bardziej patriotyczny – „Czerwonym Pasem”. Jest to przykład ogólnie znany i bliski każdemu Polakowi. Ale pieśń biesiadna taka jest i właściwie taka powinna być. To szczególny rodzaj kiczu. Chyba wielu potrzebują?

toko

Wypowiedź pana profesora a także pani Doroty nasuwa mi dwa porównania z różnych dziedzin: wymowę uroczej skądinąd nowelki Bolesława Prusa „Katarynka”, w której mówiąc najkrócej autor upominał się o tolerancję i piosenkę z tekstem Wojciecha Młynarskiego do kiczowatej w istocie muzyki obecnej w piosence na prawach cytatu. Powstał głosny przebój dla mas i elit.

Włodzimierz Wójcik

W domu mojego dzieciństwa i mojej młodości od wielu lat wisiały bardzo przyzwoite, reprodukcje – wziętych ze skarbca wielkiej narodowej sztuki – obrazów Rodakowskiego i Michałowskiego. Był Grottger i Chełmoński. Ale też równocześnie nad piecem kuchennym, nad komodą, nad stołem panoszyły się swojskie makatki chwające gospodynią serwującą wspaniałe, „pyszne”, „zdrowe” potrawy. W nocnych szafkach leżały setki kartek okolicznościowych: „z powinszowaniem imienin”, kartek wielkanocnych, bożonarodzeniowych niosących niezliczoną ilość ckliwych, sentymentalnych obrazów życia. Był też kiczowaty *Chrystus w Ogroju*. Czy to obcowanie z dziełami niejako „z różnych parafii” popsuło mi smak? Nie sądzę. Jedno wiem. Dnie i noce przez dziesięciolecia kontemplowałem dzieła w muzeach i galeriach całej Europy a przecież kiedy przyjeżdżałem do maminego domu, zawsze witałem z biciem serca, z radością, ze wzruszeniem typowy kiczowaty obrazek.

Obrazek jak obrazek. Widać było wijącą się rzeczkę. Nad nią przerzucony drewniany mostek z poręczą. Przez mostek przechodzi staruszka niosąca z la-

su na plecach w zwykłej plachcie chrust na podpalkę. W oddali prosta wieśniacza chatka. Nad tym wszystkim swojskie konary rozłożyste lipy, wyżej niebo i lecące trzy ptaszki.

Ten obraz to pozostałość dawnych czasów kiedy to członkowie rodziny handlowali tego rodzaju „dziełami”. Dawniej i dzisiaj przynosił mi i przynosi nadal klimat łagodności, spokoju. Świat jest tu uporządkowany, bez niespodzianek. Jednocześnie jest to świat WIECZNY, w którym nie istnieje czas. Nic się nie rodzi, ale też nic nie umiera.

Dzisiaj jestem „diedzicem” tego malunku pozostawionego mi przez rodziców. Jako profesor-senior powiesiłem obok niego reprodukcję Marca Chagalla. Też przedstawia zwykłe chaty i kobietę. Ale ta kobieta unosi się w powietrzu, ponad wioską. A więc koezystencja, współistnienie.

Zresztą co tu rozdzierać szaty. Parę miesięcy temu w Muzeum Śląskim, posiadającym cudowny zbiór naszego narodowego malarstwa XIX i XX wieku, oglądaliśmy z żoną ciekawą, pomysłowo uformowaną, ekspozycję KICZU. Wrażenie duże...

toko

W ten sposób staliśmy się może nadmiernie tolerancyjni. A miało być ostro... Spytałem więc, czym różni się kicz od dzieła, którego tym mianem określać nie powinniśmy?

Czesław Gałuźny

Uważam, że oryginalność utworu, jego niepowtarzalność, skutecznie chroni dzieło przed stacaniem się stroną kiczu. Kicz jest ze swej istoty wtórny, operuje nagromadzeniem zastanych wzorców i sprawdzonych chwytów.

Dorota Agnoletto

Dodam, że rzecz sprowadza się do nadmiaru sprawdzonych efektów i atakowania nimi najprostszymi instynktów.

Ale również muzyka w formie bardziej elitarnej święci też swoje tryumfy na polu klasycznego kiczu.

Tu – kto to pamięta z przekazów rodzinnych cioć, mam i pań od fortepianu – sztandarowym przykładem kiczowatej kompozycji jest „Modlitwa dziewczicy” autorstwa Tekli Badarzewskiej.

Owa to utalentowana młoda panna (w założeniu dziewczica, jako że utwór powstał w 1856 r. jako dzieło 18-latki, żyjącej na naszym świecie jedyne 27 lat) – utworem tym odniosła nieprawdopodobny sukces.



Był on wydany w 100 krajach, wszędzie znany, stanowił podstawę repertuaru uczących się muzyki panienek na pensjach.

Sława i popularność utworu sympatycznej acz chorowitej Tekli Badarzewskiej niewątpliwie równa jest ówczesnej sławie Szopena, a dzisiejszej – wieszczki muzyki polskiej, za życia już pomnikowej postaci – Krzysztofa Pendereckiego. (Nie wspominając już o popularnej kompozycji nieznanego autora – krótkiego acz zwięzłego i wpadającego w ucho utworu „Kotlety”, znanego już dzieciom w kołysce).

Co ma Badarzewska do Pendereckiego? Na pierwszy rzut oka niewiele. Ale – jak się dobrze przyjrzeć – wielki Mistrz również nie ustrzegł się skrajnego kiczu, wprowadzając motywy polskich kołęd w swojej „Symfonii Wigilijnej” pisanej w latach ciemności politycznej naszego kraju (a kto uważnie wysłucha dzieła będzie zaskoczony łatwością, że nie powiem łatwizną kompozycji nachalnie grającej na naszych narodowych uczuciach).

To samo można u Mistrza dalej zauważyć w „Polskim Requiem” – które rodziło się bardzo długo, co już samo z siebie świadczy o pewnej niejasności koncepcji kompozytorskiej („Polskie Requiem” powstawało w latach 1980 – 2005). Tu również spotykamy niezwykle pro-polską wersję muzycznych tematów patriotycznych, co niewątpliwie przypomina płodzone w latach 50 obowiązkowe utwory patriotyczne jak przykładowo „Kantata na cześć Stalina” skądinąd dobrego kompozytora Dymitra Kabalewskiego, czy całą masę tego rodzaju odświętnych utworów płodzonych przez mniej lub bardziej entuzjastycznie do tego nastawionych kompozytorów.

toko

Czy kicz tworzony jest świadomie?

Czesław Gałuźny

Kicz ma uszcześliwiać. Nie powinien prowokować, nie może męczyć, w żadnym wypadku drażnić. Ma odpowiadać na powszechne zapotrzebowanie na doznania przyjemne, łatwe i proste. Ma trafiać do mas, na ogół – niestety – mało wymagających, słabo wykształconych, o nie wyrobionym smaku. Z natury konserwuje upodobania, bo odwołuje się nachalnie do rzeczy znanych i uznanych za miłe. Według mnie jest zaprzeczeniem rzeczywistej sztuki, bo ta ma właśnie niepokoić, drażnić i prowokować. Myślę, że kiczowate utwory powstają świadomie – o ile nie jest to naiwna amatorszczyzna – z nadzieją na powszechny odbiór, duży popyt i w efekcie równy popytowi dochód.

toko

No dobrze, ale przecież dążenie do uznania, możliwość szerokiego, jest chyba naturalnym i wcale nie zdrożnym zamiarem każdego twórcy?

Czesław Gałuźny

Do pewnych granic. Dzieło sztuki powinno raczej przeciwstawiać się powszechnym gustom epoki niż im ulegać, kicz natomiast wyraźnie im schlebia.

Włodzimierz Wójcik

Coś z tych rzeczy rozumiała Zofia Nałkowska pisząc niektóre swoje powieści – z odcinka na odcinek, z tygodnia na tydzień – z przeznaczeniem dla „publiczności gazetowej”, czyli dla masowego odbiorcy. Były to utwory najwyższej lub bardzo wysokiej rangi. Miały one jednak wabić często bardzo prostego czytelnika tym, że wielokrotnie w tytule pojawiał się rzeczownik „romans” (*Romans Teresy Hennert*) lub podtytuł „romans prowincjonalny” (*Niedobra miłość*), rzeczownik ocierający się niejako o pojęcie kiczowatości, kojarzący się z melodramatem..

Nawet *Granica* Nałkowskiej, powieść psychologiczna, realistyczna, polityczno-społeczna i filozoficzna, ma w konstrukcji ramy kompozycyjnej coś „gazetowego”, niemal plotkarskiego. Na samym początku utworu pisarka sygnalizuje gazetowe wiadomości o skandalu obyczajowym, jaki wstrząsnął opinią publiczną w pewnym miasteczku Polski międzywojennej. Oto dostojnik państwowy kiedyś uwiódł prostą dziewczynę, ta – zagubiona życiowo po stracie nieślubnego dziecka – wypaliła niewiernemu kwasem oczy. On z rozpaczy popełnił samobójstwo. Temat jak znalazł dla służących. Ale za tym plotkarskim, kiczowatym komunikatem, za tą powłoką kryją się nieprzebrane problemy, które wymagają uruchomienia wyobraźni i refleksji nad kondycją człowieka. „Wabik” Nałkowskiej miał całkiem szlachetne cele. Dodać należy, że znamiona kiczu pojawiają się wielokrotnie także u samego... Żeromskiego. Dość wskazać na niektóre elementy konstrukcyjne jego *Dziejów grzechu*.

W sztuce jak w życiu. Istnieją obok siebie różne wartości i jakości. We wczesnej młodości czytałem (przynajmniej: z wielkim trudem) wielkie dramaty Szekspira i Wyspiańskiego a jednocześnie Rodziwiczówną, Gąsiorowskiego, Zarzycką czy Mniszkówną. Tych pierwszych twórców – wiadomo – literaturoznawcy wysoko stawiali. Na drugich... raczej kręcili nosami. Mnie, zwykłemu wówczas chłopcu, jedno i drugie dzieła nie zaszkodziły.

Dorota Agnoletto

Wracam do muzyki. Oczywiście klasycznym przykładem gatunku łatwo staczającym się ku kiczowi jest opera i jej frywolna siostra – operetka. Umiejący bohater z nożem w piersi (lub gdzie indziej) śpiewa przez 10 minut pełnym głosem bohaterską arie, sam lub wspólnie z wybranką jego serca.

Jest to jednak pewna konwencja dramatyczna i na ogół nawet wielki Verdi starał się skracać długość tzw. bohaterskich arii pogrzebowych. A przykłady można mnożyć: duet Radamesa i Aidy w ostatnim akcie opery „Aida”, czy też przepiękna i chwytająca za serce aria Mimi z opery „Cyganeria” Pucciniego, które – mimo pozoru kiczu – są jednak prawdziwymi arcydziełami.

Gatunek opery jak i operetki szczególnie nadaje się do kiczowatej **inscenizacji** zależnie od tzw. „nowatorskiej” inwencji reżysera. Przypominam sobie inscenizację „Walkirii” Wagnera w Teatro Regio di Torino, skądinąd dobrego reżysera operowego Gianfranco de Bosio, gdzie chór i statysci regularnie wchodzili na scenę z prawej strony i wychodzili z lewej, po czym na odwrót, a Zygfryd w stojącym na środku sceny domku mającym przedstawiać jaskinię, mocował się pracownice z trudno otwierającymi się drzwiami (no cóż, były to niewątpliwie drzwi kamienne, jak to w jaskiniach bywa) i również wchodził i wychodził, w międzyczasie coś sobie podśpiewując. I tak przez pięć (jak mi Bóg miły!) godzin.

Do osiągnięć współczesnej interpretacji dzieł klasycznych należy produkcja „Aidy” w Teatrze Operowym w Genewie, gdzie ubrani w niemieckie mundury żołnierze przeganiają po scenie jadących na wózkach inwalidzkich wziętych do niewoli Etiopczyków (tu w zamyśle podłych Talibów o ciemnych twarzach). Nawet ogólne buuuuuuu publiczności nie dało skutków. Inscenizacja dalej krąży po scenach świata jak duch Banka.

Klasycznym przykładem kiczu jest musical, aczkolwiek niektóre miłe uchu melodie odnoszą triumfy i są całkiem, całkiem z muzycznego punktu widzenia, jak Memory czy Dont cry for me Argentina.

Z naszego polskiego repertuaru kiczów muzycznych – pomijając pieśń masową, czyli sukcesy popowe i szlagiery różnego lotu, wypada przytoczyć bombastyczny acz bezgustowy utwór, skądinąd utalentowanego – niewątpliwie i bezdyskusyjnie, komercyjnie i medialnie – Piotra Rubika, nazwany przewrotnie „Oratorium” – z jego stale przybywającymi – jak telenowela – nowymi odcinkami. Niech mu jednak będzie – i blondwłosa ikona i produkujący fałszywki twórca niechże padnie na ołtarzu tzw. propagatorów

muzyki klasycznej, a ziemia niech mu lekka będzie!

I tymi słowami, mimo, że to temat – rzeczka – kończę te spontanicznie nasuwające się uwagi malkontenta, gdyż masówka – jak chińskie wyroby – pracownice wypiera wartościowe i długotrwałe produkty. Taka jest kolej rzeczy.

Włodzimierz Wójcik

Podzielam wyrażone tu uczucia i refleksje pani Doroty. Nie jestem ani kompozytorem, ani muzykologiem; jestem zwykłym, prostym muzyki wokalnem i instrumentalnym miłośnikiem. Kiedy stokroć oglądałem i słuchałem w salach koncertowych i teatralnych Europy i Polski wielką ilość dzieł wymienionych tu twórców, wielokroć zwracałem uwagę na istniejące w nich elementy kiczu. „Nic to!” – powtarzałem za Wołodyjowskim. To co w nich bowiem DOMINOWAŁO, to była wielka SZTUKA. A ta jest po prostu – idąc za Norwidem – „kształtem miłości”...

toko

W ten sposób zbliżamy się do końca naszego spotkania. W zasadzie nie doszło między nami do poważnych kontrowersji w pojmowaniu kiczu, bo też nie powinno. Natomiast dopuszczalna przez nas granica tolerancji dla łatwizny w sztuce wyraźnie nas dzieli. I to też cieszy, bo uważam, że bezkompromisowość artystów jest pożądana w równym stopniu, co łagodniejsze spojrzenie krytyków. Nie bez znaczenia jest też wiek i skala doświadczeń. Dziękuję serdecznie za udział, zapraszając z góry na następne spotkania.



Rys. Marcin Malicki

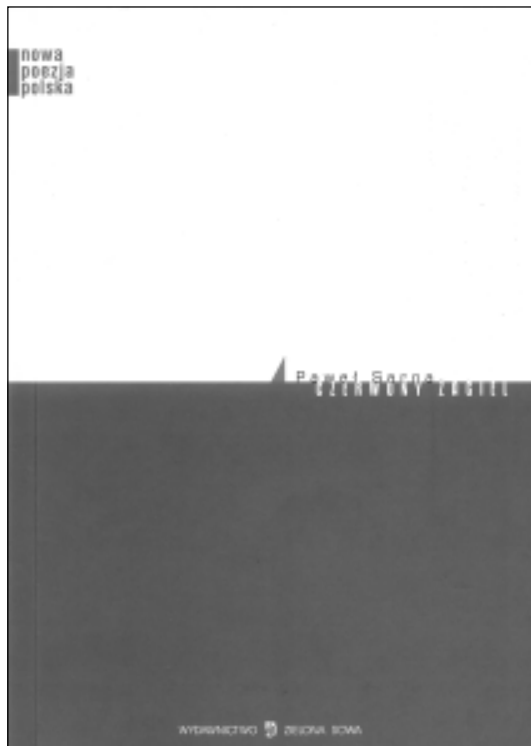


Matylda Sęk

10 WSKALI WYOBRAŹNI

L
I
T
E
R
A
T
Y
K
A

Paweł Sarna w swoim najnowszym tomiku *Czerwony żagiel* zabiera nas w podróż śladami swej wyobraźni. Przestrzeń i czas zostają zakwestionowane, wraz z bohaterem wierszy mamy okazję przechodzić z jednego etapu w drugi,



z krainy zimnego kamienia w krainę oślepiającego światła. Światła, które może stać się nowym życiem, ale zabierze nam część naszego ja. *Czerwony żagiel* to opowieść o relacji człowieka ze światem własnych doznań, przedstawienie za pomocą niebanalnej metafory jak wygląda podróż, przemiana, codzienność. Prostym metaforom i znajomym symbolom Sarna nadaje nowe znaczenia. Głęboka jest tu symbolika morza, jego nieogarnionej przestrzeni i głębi. Wędrujemy po kamiennych krainach pełnych ostów, przechodząc z chłodu w ogień, z mroku w światło, pokonujemy mosty paląc je lub próbując na nie powrócić.

Sarna nie stara się zbudować świata dostępnego dla każdego, przeciętnego czytelnika. Jego fraza nie należy do modnego nurtu poezji języka codziennego, nie jest przegadana. Buduje słownik, który z wiersza na wiersz wypełnia się nowymi znaczeniami. Pozorna prostota językowa okazuje się bogata na płaszczyźnie semantycznej.

Można tu mówić o pewnym ascetyzmie językowym, ale też o pewnych zabiegach, które wprowadzają nas w świat magii. Liczne powtórzenia są niczym zaklęcia, słowa powtarzane jak mantra, życzenia wypowiedziane w przestrzeń, modlitwy skierowane nie do bogów, ale do drugiej osoby.

Czerwony żagiel to zbiór wierszy kompletny i przemyślany. Tomik, który konsekwentnie rozwija pewną myśl i wizję świata, realia życia i stosunek podmiotu do rzeczywistości. Sarna na pewno nie jest poetą, który stanął w miejscu i powtórzył swoje lub podpatrzone wzorce. Jest poetą oryginalnym, który nie ulega chwilowym modom i zwraca się do wymagającej publiczności.

Paweł Sarna, *Czerwony Żagiel*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2006.

Paweł Sarna – poeta, krytyk literacki. Wydał tomiki „Ten i Tamten” (wraz z Pawłem Leśkim, 2000), „Biały OjciecNasz” (2002) i „Czerwony żagiel” (2006) oraz książkę „Śląska awangarda. Poeci Grupy Kontekst” (2004). Redaktor działu krytyki w Magazynie Literackim „Kursywa”.

Nr 1 / 2007
Str. 6 / 46





Bezrobotny Lucyfer

dlatego się burzą morze i giełda
jesteś za morzem jesteś
po drugiej stronie
i tamto słońce inaczej cię zmienia
i giełda największa z rzek
wylewa dla ciebie jasny prąd i powiew
dla ciebie żyzne są ziemie
pod twoją obronę uciekają się
dzieci tego świata moja mała au pair
pracuję nocą

i pada plaga jakbym pluł ogniem
i płonie zboże i sypie się
sól na podłogę i rtęć
płynie drogą pracuję nocą
(dlatego znikają hałdy) i dym się roznosi
i piekło
wychodzi z objęć

spróchniały są granice i burzą się
morze i giełda
przeze mnie
grad i zaćmienie

urzędy płoną
od podań i nocą piszę
i nocą roznoszę ulotki życiorysy swoje rozlepiam
i zdjęcia ale nie jestem poszukiwany
i wszyscy mnie znają i zdjęcia
i mój życiorys
podają sobie chociaż nie jestem
poszukiwany

chciałbym zbudować dom
albo przepłynąć morze

wyjdę nocą z pochodnią
pracował będę nauczał o tobie
pod twoją obronę uciekamy się
racz nie gardzić

chciałbym zbudować dom
nad samym morzem
zbuduję stos.

P

O

E

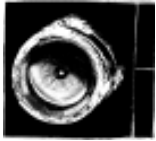
Z

J

A

Nr 1 / 2007
Str. 7 / 46





Małgorzata Miłaszewska

ŚWIAT MOTYLI W OBIEKTYWIE (O MAKROFOTOGRAFII INACZEJ)

O
B
I
E
K
T
Y
W

Świat motyli fascynuje mnie. Mogę długo obserwować gąsienice spokojnie żerujące na zielonych liściach roślin. A kiedy mają już dość zaczyna się nowy proces – metamorfoza. Gąsienica, zamykając się w czymś na kształt ochronnej, wypełnionej płynem skorupki rozpoczyna powolny proces przeobrażenia – aż trudno w to uwierzyć, w najpiękniejszy cud natury – w motyla. Co w tym pięknego? Kształt? Kolor? Wrażliwość i delikatność tego stworzenia? Właśnie to inspiruje mnie do robienia zdjęć. Zanim przybiorą kształt dorosłego owada przechodzą kilka etapów dorastania. Gąsienice potrafią kilkakrotnie zmieniać ubarwienie oraz zwiększyć swoją masę nawet do kilkunastu tysięcy razy.

Na wyjątkowość zasługują motyle jako obiekty w makrofotografii. Dlaczego? Ich ulotność skłania do uwiecznienia chwili. Co ważniejsze, uczą cierpliwości, skłaniają do szukania ciekawych sposobów na kadr. Fotografowanie tych owadów to pewnego rodzaju sztuka połączona z polowaniem i tropieniem w celu poszukiwana najciekawszych kształtów.

Niebawem nadejdą pierwsze słoneczne dni. Zbudzą się z zimowego snu by rozpocząć kolejny etap przetrwania.

W słoneczne dni robienie zdjęć staje się bardzo przyjemne. Dzięki dużej ilości światła możemy „zamrozić” ruch motyla. Musimy zatrzymać się... Pośpiech, zamyślenie każdego z nas nie daje możliwości zastanowienia się nad tym co tak naprawdę możemy zobaczyć w makro-świecie tych owadów. Przechodzimy obojętnie nie zauważając procesu przemiany czy też rozwoju gąsienic. Nie zauważamy istnienia owada. Jednakże okiem fotografa można zobaczyć tajemniczy, dobrze poukładany mały świat. Makrofotografia daje nam możliwości pokazania „modela” znacznie większego niż widzimy go w naturze. Pokazujemy to czego na co dzień nie widać, czego nie dostrzegamy. A zobaczyć możemy na prawdę dużo – od złożoności kształtów, barw do nie-

samowitych tworów natury, sprawiającej czasami, iż czujemy dreszcz przerażenia.

Fotografowanie przyrody sprawia dużo radości. Obcując z nią sam na sam można uwiecznić dziejące się i tętniące życiem wsapanie zachowania malutkich organizmów. Motyle to spora grupa „indywidualistów” szukająca swojej własnej drogi, wrażliwa i czujna na każdy ruch, nieufna do „intruza z aparatem”, bardzo trudna do sfotografowania. Jest także spora grupa tych, które można przenieść w dogodny dla nas kadr i „współpracować”. Należy jednak pamiętać o tym, iż są to bardzo delikatne stworzenia i każda nasza ingerencja może sprawić nieodwracalne dla nich skutki. Dlatego też bardziej wartościowe są zdjęcia wykonywane w ich naturalnym środowisku, co wymaga przede wszystkim szybkiej obsługi aparatu i niezawodnej optyki. Nie zliczę ile razy zdarzyło mi się ustawiać kilka minut parametry aparatu a kiedy wszystko było już gotowe, tuż przed zwolnieniem migawki „model” znikł w przestworzach wolny i radosny.

Na świat motyli spoglądam bardzo przyjaźnie, (zarówno w życiu jak i świecie przyrody) mogę je lepiej zrozumieć. Makrofotografia motyli uspokaja, uwrażliwia i wycisza. Przynosi odpoczynek od codzienności. Warto ją zauważyć i docenić.

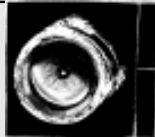
Ta specyficzna grupa owadów uaktywnia się najbardziej w słoneczne południe. W tym czasie znajdziemy największą liczbę kolorowych i najciekawszych motyli. Jeśli znajdziemy już właśnie TEGO „modela” warto poczytać trochę na jego temat, zobaczyć jakie jest jego środowisko przebywania, poznać jego biologię. Z doświadczenia polecam poranne wypady do lasu kiedy ranne słońce budzi je do życia. Z kolei podczas późnego popołudnia możemy je spotkać rozleniwione i wolniejsze.

Makrofotografia rządzi się swoimi prawami. Najważniejszym z nich jest zachowanie odpowiedniej głębi ostrości. Kontrola jej oraz

prawidłowe ustawienie to najważniejsze czynnik udanego kadru. Za jej pomocą wydobywamy motyw a odpowiednio nią operując zmuszamy widza, aby skupił swoją uwagę na tym, na czym nam najbardziej zależy kreując swoje fotograficzne ujęcia. Drugą zasadą jest umiejętność wykorzystania światła zastanego w terenie. Aby zdjęcie było udane warto zrobić kilka prób i wybrać najlepsze ustawienie. Trzecia to umiejętność dobrego kadrowania. Warto tutaj pamiętać o zasadach kompozycji kadru. Nasz „model” powinien znaleźć się w jednym z mocnych punktów kadru. Spoglądanie na niego z różnej perspektywy stwarza możliwość ustawienia odpowiedniej kompozycji z tłem.

O autorce:

Ukończyła studia metalurgiczne w Politechnice Śląskiej. Obecnie jest doktorantką pierwszego roku. Interesuje się fotografią przyrodniczą. Koncentruje się na makrofotografii, a zwłaszcza świecie owadów.



Fotografie można oglądać w galerii internetowej <http://galeria.fcs.com.pl> Najwięcej czasu poświęca motyłom i ich stadiom



przejściowym – stąd tytuł pierwszej autorskiej wystawy „Metamorfozy”.

Na wernisaż zapraszamy 1 marca do sosnowieckiej Pub & Galerii Patelnia 36

W K Ł A D K I I O K Ł A D K I

marcin malicki a.k.a. malik

Przede wszystkim writer. Czasem rysownik, malarz, grafik. Całym sercem zanurzony w rodzinnym Bielsku-Białej. Związany blisko z elektroziomalską kapelą góralską Psio Crew. [www.psiocrew.pl]. Studiuje na UŚ.



Rys. Marcin Malicki

Czesław Gałuźny

Sosnowiczanie, rocznik '51. Założyciel Stowarzyszenia Pastelistów Polskich, członek ZPAP, oraz legendarnej grupy „Zagłębie”. Uprawia malarstwo i rysunek. Uczestnik licznych wystaw zbiorowych i indywidualnych. Wielokrotnie wyróżniany i nagradzany.

Woskiem malowane

Batik to z jawańskiego barwienie tkanin, polegające na pokryciu woskiem przed barwieniem miejsc, które mają pozostać nie zabarwione. Dzięki przenikaniu barwnika, w rysy powstałe przy krzepnięciu wosku, we wzorze, występują charakterystyczne dla batiku żyłkowania. **Leszek Szymczyk** uprawia malarstwo, rysunek, grafikę komputerową, batik. Swoje prace wystawiał na wielu wystawach w kraju i zagranicą, w listopadzie w rodzinnym Sosnowcu, w galerii Patelnia 36.

Turystyczny Będzin

Będzin stawia na ekologię i przyrodę. Koniec ze stereotypem miasta przemysłowego. Jak go przełamać? Konkurs fotograficzny *Będzin – Turystyczny przystanek* wygrał **Grzegorz Nagrodzki** (jedno z dwóch pierwszych miejsc), członek Zagłębiowskiego Towarzystwa Fotograficznego [www.ztf.prv.pl]. Będzinianin. Fotografuje od 3 lat.



Włodzimierz Wójcik

PROWINCJA? ŚWIAT SKŁADA SIĘ Z PROWINCJI

Po II Kongresie Kultury Zagłębia Dąbrowskiego pojawiły się pojedyncze głosy sceptyczne odnoszące się do możliwości uformowania i określenia tożsamości społeczności mieszkającej w rejonie Sosnowca, Zawiercia, Olkusza, Będzina, Dąbrowy Górniczej. Wprawdzie wcale silna była fala głosów ludzi optymistycznie widzących przyszłość Zagłębia i apelujących do jego mieszkańców, by nie wstydzić się tego, że są Zagłębiakami, ale przecież istnieje kwestia tak zwanej „choroby prowincjonalności”.

Kompleks prowincji i prowincjonalizmu... Choroba ta nie od dzisiaj panuje, jednak w ostatnich czasach przybiera rozmiar epidemii. Ludzie pędzą do metropolii w oczekiwaniu lepszego życia. Nie chcą egzystować na peryferiach, dążą za wszelką cenę do usytuowania się w centrach. Są to miejsca niemal sakralne, w których wszelkie materialne – takie są nadzieje, a raczej złudzenia – dobra znajdują się w zasięgu ręki. Meksykanie pędzą do Ameryki, niektórzy Anglicy do Kanady, dawni Jugosłowianie do Szwecji, Rosjanie i Białorusini do Polski, bo to przecież dla nich Zachodnia Europa. Rozmiar tych wędrówek ludów okazuje się horrendalny. Rzecz jasna, nie jestem przecież przeciwnikiem podróży i podróżowania. Przeciwnie – jestem ich entuzjastą. Ale co za dużo, to raczej niezdrowo. Bo nie jest naganne podróżowanie, lecz uciekanie...

Żywiolowa ucieczka przed prowincją i prowincjonalizmem ma charakter choroby. Graniczy z rozpaczą. Stanowi formę szukania głównie lepszych perspektyw egzystencji, rzadziej już kontaktu z kulturą i cywilizacją. Jest to rzeczą w części zrozumiałą. Każdy przecież chce czegoś lepszego. Nie ma w tym nic zdrożnego. Ale samo mieszkanie w centrach jeszcze o niczym nie świadczy. Kiedy pierwszy raz przybyłem do Londynu, to nie moi przyjaciele ciągnęli mnie do British Museum, mimo, że byli w angielskiej stolicy zadomowieni od 1945 roku. To właśnie dzięki mojej inicjatywie – przybywszy z Kraju – po raz pierwszy ujrzeli oni w całej okazałości zbiory tej przebogatej pla-

cówki. Ja byłem ich przewodnikiem. Czyż to nie paradoks?

W istocie centrum świata dla każdej jednostki znajduje się tam, gdzie ta jednostka żyje, pracuje i wypoczywa wspólnie z bliskimi jej ludźmi. W Koźiej Wólce może się dziać coś ciekawego i twórczego. Wszystko zależy od mieszkających tam ludzi. Prowincjonalizm to choroba mózgu, niedorozwój mentalnościowy, brak mocy kreatywnej zarówno jednostek, jak i grup społecznych.

Nie odkryję Ameryki, gdy powiem, że centra świata się bezustannie zmieniają. Niegdyś Rzym był centrum starożytnego świata, Paryża nie było, lub był prowincją zabita deskami. Place de Concorde – dziś środek cywilizowanego globu – był niegdyś wysypiskiem śmieci wynoszonych czy wywożonych z pobliskiego Pałacu Tuileries, który zresztą doszczętnie zniszczyła Wielka Rewolucja Francuska.. Podobnym wysypiskiem śmieci i gruzu była ekskluzywna dziś, bo przez człowieka zagospodarowana, dzielnica Paryża – Montparnasse.

Jeżeli chce się mieszkać w wygodnym i cywilizowanym otoczeniu, warto taką przestrzeń sobie tworzyć wspólnymi siłami, miast owczym pędem gonić za przeludnionymi metropoliami. Wielkie skupiska zatracają w istocie ludzki wymiar i charakter. Jednostka czuje się uprzedmiotowionym trybem źle kontrolowanej maszyny. Często ulega psychicznej i mentalnościowej destrukcji. Człowiek podlega procesowi reifikacji. Oddala się od świata przyrody. Droga do kwiatów, ptaków, zwierząt walenie się wydłuża.

Nikogo nie moralizuję i nikogo nie pouczam, ale tak sobie myślę – zupełnie na własny użytek. Twierdzę, że aby wyzwolić się z kompleksu prowincjonalizmu, należy w życiu przyjąć postawę aktywną, stać się jednostką twórczą, zmieniającą swoje najbliższe otoczenie, krajobraz, infrastrukturę. Siedzenie z założonymi rękami, bierność, stagnacja – chorobę jedynie pogłębi. Polskie wsie, małe i średnie miasta i miasteczka mogą z powodzeniem stać się takimi miejscami, z których droga do Paryża, Rzymu czy Nowego Jorku jest taka sama, jak z Warsza-

wy, czy Krakowa. Chodzi o to, aby jednak przyjąć się tym miejscowościom szeroko otwartymi i rozumiejącymi oczyma; z jednej strony bez pseudopatriotycznej megalomanii, z drugiej – bez uczucia irracjonalnego pesymizmu i totalnego wątplenia we wszystkich i we wszystko.

Dobrze jest przechadzać się ścieżkami i ulicami swojej „najbliższej ojczyzny” i bezustannie zadawać sobie pytania, co można na swej drodze zmienić, jakie placyki zamienić na skwery, jakie ruiny starych domów zaadoptować do jakichś „zbożnych” celów. Nie chodzi o kosztowne wyburzanie i stawianie architektonicznych bunkrów. Wędrując po Brukseli widziałem, że przy modernizacji miasta, zachowuje się jego specyficzny, swojski wygląd. Przyjemne dla oka fasady budynków są chronione. Modernizacja dokonuje się

w środku, pojawiają się tam takie urządzenia, które są niezbędne współczesnemu cywilizowanemu człowiekowi.

Pisarze, malarze, intelektualiści – poza pewnymi wyjątkami – często uciekają z wielkich aglomeracji, które zazwyczaj dekoncentrują ich psychicznie i destrukują proces twórczy. Leopold Staff uciekał w kierunku „ścieżek polnych”, Iwaszkiewicz zaszywał się w Podkowie Leśnej, w słynnym Stawisku, Zegadłowicz „zaszył się” w Gorzeniu. Przykłady tego typu zachowań idą w setki. Prawda jest taka: wielkie dzieła umysłu, wyobraźni i rąk mogą powstawać w każdym punkcie kuli ziemskiej: w Paryżu i w Siewierzu, Rzymie i w Pińczowie; wszędzie tam, gdzie talent i rzetelna praca zespala się w aktywnej osobowości.



Joanna Skiba

Z PRZYGÓD FILMOZNAWCY: DO KINA CZY NA FILM?

Całkiem niedawno, bo zaledwie 2-3 lata wstecz odpowiedź jakiej sama bym udzieliła, bez najmniejszego wahania byłaby: na film. Dziś odpowiedź nie jest już tak prosta. A wszystko za sprawą zmian w branży kinematograficznej, które kilka lat temu były w powijkach. Natomiast dziś resort kultury stał się obowiązkowo dochodowy.

Należałoby zacząć od tego, że kiedyś kina dzieliły się na studyjne i te zwykłe. Te pierwsze pozostały, funkcję drugich pełnią dziś multiplexy. Jeżeli jakieś *zwyczajne* kina dziś jeszcze pozostały i nie są deficytowe to chwała sponsorom. Jednak spuśćmy zasłonę litości i zajmijmy się kinami studyjnymi, w których *lecą takie dziwne filmy*¹. Za podziałem kin wydawałby się logiczny podział repertuaru. Skoro multiplex to popkultura, skoro kino studyjne to tzw. kultura wysoka. Jedni mają swoich widzów, drudzy swoich widzów (często stałych, znanych z imienia, witanych uśmiechem i dobrym słowem). Nikt nikomu nie wchodzi w drogę. Teoretycznie.

Posłużę się przykładem filmu, który zaczął właśnie gościć na ekranach kin. *Pachnidło*, bo o nim tu mowa, weszłoby kilka lat temu tylko do kin studyjnych. Najprawdopodobniej tak by było. A tu niespodzianka, obraz ten można zobaczyć również w multiplexach. Zmiana strategii dystrybucji jest porażająca. Obserwując entuzjazm z jakim film został przyjęty przez widzów (w pierwszy weekend projekcji sale kinowe pękały w szwach), dochód z biletów podniósłby z niskiej budżetowej wszystkie kina studyjne w Polsce. Prawda jest taka, że dystrybutorowi wystarczy jeden film o ogromnej popularności, aby przez resztę czasu wziąć oddech (tak było np.: z *Amelią* i podejrzewam, że podobnie będzie z rzeczoną *Amelią*). Ale nie dla kin studyjnych taki przywilej.

Owszem istnieje w Polsce grupa ludzi, którzy z zapalem oglądają filmy, wręcz pochłaniają wszystkie produkcje i na temat każdej mają coś do powiedzenia. Zawsze w towarzystwie są odbierani jako wytrawni widzowie kultury wysokiej, a superprodukcje (oglądane z zapalem w ukryciu) są jedynie godne pogardy. I w porządku, bo dzięki nim kinematografia w Polsce funkcjonuje i nadal istnieje. I tu pojawia się zadane przeze mnie na początku pytanie: do kina czy na film? Aby odpowiedzieć na to pytanie należy zastanowić się

¹ Cytat pochodzi z ust młodego człowieka, którego towarzyska zatrzymała się przed katowickim kinem studyjnym i ku zgrozie owego chłopaka z zainteresowaniem zaczęła śledzić repertuar.



SUBIEKTYW

Nr 1 / 2007
Str. 12 / 46



najpierw nad kontekstem w jakim padnie odpowiedź. Na film, jest uniwersalna, bo wtedy biorąc pod uwagę *zejście* kina artystycznego do multipleksów, automatycznie chodzimy na film. Ale czy

próbując stanąć w obronie kin studyjnych jedynie słuszną odpowiedzią byłoby do kina, a właściwie do kina na film. Być może taka odpowiedź wydaje się śmieszna, ale w kontekście istnienia kultury wysokiej, której wyznawców (z nazwy bądź serca) jest coraz więcej, jest ona logiczna. Uważam, że nie da się żyć jedynie świętem kina, ale trzeba zatrzymać się i popatrzeć na kontekst trochę jak idealista walczący z wiatrakami. Jeżeli tak się nie stanie, to za jakiś czas idea kin studyjnych upadnie. Często jest tak, że nie są to instytucje samodzielne, tylko zależne od zwierzchników, nie zawsze patrzących na działania kina z przychylnością. Powód niech pozostanie niedopowiedzeniem, bo kiedy nie wiadomo o co chodzi... Podejrzewam, że dystrybutorzy też nie zmieniają zdania i nie zaczną dawać kopii filmowych tylko kinom studyjnym, filmów przeznaczonych dla kin studyjnych. Czyż nie byłoby wtedy pięknie na świecie, gdyby filmy pojawiające się na ekranach były wyświetlane premierowo. To smutne, gdy w gablotach kinowych, na wiszących plakatach pojawia się napis *wkrótce*, rzucony w przestrzeń z nadzieją i oczekiwaniem... Jedyną nadzieją, na dzień dzisiejszy, są widzowie i ich wybór: do kina czy na film.

Ponieważ sama zaliczam się do grona kino bywalców doskonale rozumiem, że wygoda oglądania filmów jest ważna. Wiem, że przyjemnie ogląda się film w klimatyzowanej latem i dogrzanej zimą sali kinowej! Wiem, że techniczne rozwiązania sal kameralnych mogą pozostawiać wiele do życzenia. Ale cóż, gdy będzie brakować widzów w kinach studyjnych znajdują się one na równi pochyłej i będzie jeszcze gorzej, a przecież zawsze może być gorzej. Ale wszystko teraz w rękach i oczach widzów, którzy idąc na film mogą wybrać kino. Może gdyby wszyscy poszli na film artystyczny, na przykład *Pachnidło*, do kina studyjnego, zostałaby uratowana pewna idea. A przecież Polacy potrafią się jednoczyć i walczyć w imię wspólnego dobra (ta cecha naszego narodu na przestrzeni wieków pozostaje niezmienna). Skoro potrafimy solidarnie zbierać pieniądze na

szczytny cel, bądź zapalać świece o tej samej porze, to może jest szansa, że wszyscy będziemy chodzić do kin studyjnych na filmy, które powinny tylko w nich się pojawiać. Obawiam się, że za kilka lat, gdy multipleksy będą odbijać się nam czkawką może zabraknąć miejsc, w których najważniejsza jest tradycja, wartość artystyczna filmu, niepowtarzalny klimat. Może czasem trochę retro, ale nie można odmówić kinom studyjnym jednego – dla mnie są to kina z *ludzką twarzą*, gdzie przyjemność obejrzenia filmu jest niepowtarzalna.

Stara prawda głosi: *reklama dźwignią handlu*, kina studyjne posiadają jedyny i niepowtarzalny klimat, ich repertuar jest imponujący, często te „dziwne filmy” wyrywają serce z piersi, rozrywają je na strzępy, a później jeszcze wgniatają w ziemię. Gdy bawią wymagają od widza reakcji, nie automatycznej, bezmyślnej, ale prawdziwej. Czyż nie taka jest idea sztuki, wzbudzić emocje, zmusić do myślenia?

Na koniec pozwolę sobie odpowiedzieć na postawione przeze mnie na początku pytanie. Chodźmy na filmy do kina... studyjnego.



Rys. Marcin Malicki

Jakub Ziobroń

PUSTELNIA NA GODZINY W SUBIEKTYWIE JAKUBA



O tempora, o mores

W kulturach pozbawionych pisma, zamierchle czasy zaczynają się jakieś dwa, trzy pokolenia wstecz. Jednakże, nawet dla współczesnego człowieka żyjącego – nazwijmy to nieostro – w europejskiej kulturze, nie ma wielkiej różnicy pomiędzy powstaniem styczniowym, a dajmy na to, upadkiem Rzymu. Jeżeli nie zajmuje się na co dzień historią, wszystko to jest tak samo odległe.

Trudno, więc się dziwić, że kultura w której żyjemy wydaje się być niezmienna. Wzory, które funkcjonują od ponad dwóch pokoleń to już tradycja, a każda zmiana jest traktowana jako rewolucyjny zgoła, zamach na nią.

Linton zauważył, że człowiek jest stworzeniem indywidualistycznym, który stara się żyć w społeczeństwie na wzór mrówek. Ta sprzeczność istnieje od początku dziejów ludzkości. Horda, plemię, naród. Ludzie od zarania dziejów łączyli się w grupy. Jest to oczywiste. Grupa daje oparcie. Zapewnia jedną z podstawowych potrzeb, jaką jest bezpieczeństwo fizyczne, emocjonalne, ekonomiczne.

Wyrzucenie poza nawias społeczeństwa stanowiło karę. Jak pieszce Tuan, już w starożytności najgorszym wyrokiem była banicja. Nie tylko pozbawiała kontaktu ze znanym i oswojonym miejscem w przestrzeni świata, ale odcinała od własnej grupy. Tak było w średniowieczu i tak jest też dzisiaj, kiedy przestępców skazuje się na izolację w więzieniu.

Z drugiej strony, coraz większa liczba ludzi stłaczana była w tym jakże przypominającym mrowisko sztucznym tworze – mieście. Proces ten uległ przyspieszeniu wraz z rewolucją przemysłową.

Z czasem struktura społeczeństwa coraz bardziej się komplikowała. Organizmy państwowe wytwarzały instytucje, przejmujące funkcje do tej pory spełniane przez jednostki lub nieformalne grupy.

Na pierwszy rzut oka, wydawałoby się, że niezmienną pozostawiała tylko jedna, najmniejsza część społeczeństwa. Jak to niektórzy ujmują „podstawowa komórka”. Rodzina. Kiedy jednak przyrzeć się bliżej, ona także ulegała przemianom na przestrzeni wieków. Ulegała redukcji, do najmniejszej z możliwych, rodziców i ich dzieci. Gdyby całkowicie uwierzyć prasie, okazałoby się, że wszyscy dookoła żyją samotnie i strasznie z tego powodu cierpią. Rodzina

stała się towarem deficytowym i w zasadzie niespotykanym nigdzie poza jakimś rezerwatami.

Problem z samotnością, która ma być tematem niniejszego eseju, zaczyna się już na poziomie samego słowa. Rzeczownik ten może posłużyć do nazwania przeróżnej gamy ludzkich życiorysów. Nacechowany zdawałoby się perioratywnie, współcześnie budzi często sprzeczne uczucia.



Rys. Marcin Malicki

Trzeba więc zdobyć się na jakiś podział. Chciałbym się skupić na samotności w wielkim mieście, ale nie tej przerażającej, spowodowanej wykluczeniem, lecz samotności z wyboru.

Określenie „singiel” stało się ostatnio modne. Ludzie żyjący w rzeczywistości ponowoczesnej, coraz częściej odrzucają tradycyjne związki rodzinne. Nie muszą i nie chcą poświęcać swych indywidualnych dążeń. Pracują, tworzą, po czym wracają do swoich mieszkań. Do swojej pustelni.

Nie potrzebują stada, ponieważ ponowoczesne społeczeństwo posiada instytucje, które zaspokajają mniej lub bardziej ich potrzeby. Od policji aż po burdel.

S
U
B
I
E
K
T
Y
W

Nr 1 / 2007
Str. 13 / 46





Należałoby się zastanowić, czy jest to prawdziwa samotność. W końcu, nawet siedząc w domu, mogą w każdej chwili zadzwonić. W komputerowej sieci istnieją rozliczne miejsca gdzie można

porozmawiać z innymi. Poza tym, ludzie o których tutaj piszę, najczęściej posiadają sieć znajomych, z którymi utrzymują mniej lub bardziej częste kontakty. W niczym nie przypominają Szymona Słupnika.



Rys. Marcin Malicki

Ta ich samotność, istnieje potencjalnie. To wygodne rozwiązanie dające możliwość wycofania się w każdej chwili. Można wyłączyć komputer, nie przyjść na spotkanie, odłożyć słuchawkę. Komfortowa sytuacja, w której nie trzeba z niczego rezygnować. Można się zamknąć w pokoju, mając jednocześnie wszystko w zasięgu ręki.

We współczesnym mieście, nie istnieje jednak inna samotność, poza tą ograniczoną do czterech ścian pomieszczenia. Cała przestrzeń jest zawłaszczana przez budynki lub anonimowy tłum. Nastąpiło odwrócenie sytuacji, człowiek nie szuka kontaktu z innym, gdyż ten jest mu dany niejako automatycznie, narzucany czasami siłą. W mieście brak jest pustki. Brak, braku obecności. Tak jak kiedyś na człowieka napierała zewsząd niecoswojona bezludna przestrzeń, tak te-

raz żyjąc w mieście czuje nacisk tej ogromnej rzeszy ludzi dookoła.

Nic więc dziwnego, że szukamy wytchnienia w samotni. Istniejącej, co podkreślam, potencjalnie. Ponieważ dzięki technice, nie musimy się obawiać całkowitego opuszczenia. Można poświęcić czas tylko dla siebie, gdyż nie ma obawy, że nagle pozostaniemy całkowicie sami.

Rozwój naszej cywilizacji doprowadził do zmiany w strukturze powiązań łączących ludzi. Przestają się liczyć więzy krwi, zamiast tego coraz częściej budujemy sieć bliskich osób w oparciu o całkowicie inny, wspólny mianownik. Praca, ulubione miejsce spędzania wolnego czasu, Internet. W obecnym świecie, przestrzeń nie ma już takiego znaczenia.

Można by pomyśleć, że taka komfortowa sytuacja trwa do pewnego momentu, ale w zderzeniu z czymś nieodwołalnym, ze śmiercią, łamie się cała jakże misterna układanka. Ale wobec śmierci każdy staje samotnie, pomimo najliczniejszej rodziny. Od dawna umieramy w sterylnych szpitalach, a nie w otoczeniu najbliższych.

Bauman pisze, iż w ponowoczesnym świecie coraz trudniej przychodzi budowanie trwałych związków. Zamiast tego powstają krótkotrwałe i kruche efemerydy, rozpadające się pod naporem szarej rzeczywistości. Nie ma woli by utrzymać status quo, zamiast tego rusza się na dalsze poszukiwania.

Pozwolę sobie zadać przewrotne pytanie: czymże jest ten drugi brzeg, do którego niewielu ma już chęć docierać? Jakoś nie przypominam sobie, aby Homer opisał Helenę po dziesięciu latach oblężenia Troi. A Bajki o pięknych księżniczkach kończą się „żyli długo i szczęśliwie...” bez szczegółów.

Jak napisałem na początku kultura ulega bezustannym zmianom, zbyt wolno jednak, by zauważył to pojedynczy człowiek. Tak, jak rewolucja przemysłowa zmieniła ekonomiczne oblicze europejskiej cywilizacji, tak teraz następuje zmiana w samej strukturze naszego społeczeństwa.

Na zakończenie, dla pocieszenia obrońców wszelkich „tradycyjnych” wartości przytoczę pewną obserwację. Dotyczy studentów, oderwanych od własnych rodzin, rzuconych w obce, nowe miejsce. Zdarza się, że spontanicznie na świeżo powstałe znajomości, nakładają siatkę nazw odpowiadających pokrewieństwom rodzinnym. Tak więc tradycyjna rodzina przynajmniej w symbolicznej warstwie kultury jeszcze długo nie zginie.

XIV TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA O LAUR PLATERANKI



Jak zwykle w pewien jesienny, piątkowy wieczór w sosnowieckim II Liceum im. Emilii Plater rozbłysły światła. Przybywali liczni goście spieszący na doroczne, swoiste święto szkoły. Uroczystością jest bowiem rozstrzygnięcie kolejnego Turnieju Jednego Wiersza. Impreza już dawno zdobyła należną sobie rangę, dzielnie ją utrzymuje i wciąż kusi rozpoetyzowanych licealistów z Polski i okolic. Wabi też kibiców, bo zawsze – obok często nader ciekawych poetyckich prób – umie zabawić gości niebanalnym programem towarzyszącym.

Tak było i tym razem, chociaż **toko** wychodził odrobinę zawiedziony. Nie poziomem nadesłanych wierszy, na pewno nie atmosferą imprezy, ale repertuarem wypełniającym chwilę oczekiwania na werdykt jury. Ostatecznie wolno mi spodziewać się po młodzieży czegoś drapieżnie oryginalnego, a przynajmniej niebanalnego a tu masz: pioseneczki słodziutkie wylęgające się z nadajników wszystkich radiostacji w kraju. Przynajmniej repertuar wpisuje się gładko w temat dyskusji „przy kawie”. Dobrze też, że wystąpiła baletnica. Stare oczy miały czym się cieszyć. Oj, miały! Niech żałuje, kto nie widział.

O Turnieju zaś pisze **Dorota Nowacka**, osoba jak nikt wtajemniczona, ja tymczasem podam tylko, kto tym razem znalazł uznanie w oczach komisji konkursowej.

Jury, któremu – jak często – przewodniczył **Marian Kisiel** tak rozdzieliła nagrody: I Nagroda i **Laur Plateranki** dla **Tomasza Pulki** z IX LO z Krakowa, II nagroda dla **Natalii Paradowskiej** z II LO w Elblągu, III nagroda dla **Anny Dwojnych** z LO w Płocku. Nagrodę publiczności uzyskała **Dorota Szurma** z II LO w Sosnowcu.

Ponadto rozdzielono nagrody dodatkowe przyznawane przez sponsorów imprezy. I tak „Były wieloletni nauczyciel II LO” wyróżnił **Katarzynę Siemion** z Jaworzna, firma Pro-Inhut Sp. z o.o. z Dąbrowy Górniczej **Olę Słowik** z Gliwic oraz **Annę Cieplak** z Dąbrowy, Szkoła Języków Obcych MASTER **Joannę Koterską** z Sosnowca.

Pisząca o Laurze **Dorota Nowacka** wyróżniła **Iwonę Tautkute** z Wilna.

Trzy nagrodzone wiersze publikujemy.

toko

I NAGRODA – Laur Plateranki 2006

Tomasz Pulka

IX LO w Krakowie

Wiersz na wdechu

Ósmy dzień tygodnia, północ, badanie. Dajmy na to
Węgry: rozgaszone do białości światła i szyfr pelzający
po wargach. *Nie rozumiem cię Adriana*,
te stoliki zwijają się w kłębek robiąc taki hałas, że ani cierpliwość
ani to wino.

A może wszystko położyć na kancie? *Niebo gwiaździste*
nade mną, zapalki w pudełku, owal twarzy rozmyty w
rodzinie. To taka choroba, przecież pamiętasz.

Jak trudny był ten czwartek. Napis na krześle
rozmienił się na drobne: szpitalny seans,
wyraźny szmer dywanu, powyłamywane nogi

I wszystko wytarte, wytarte. Kurz.

P
O
E
Z
J
A

Nr 1 / 2007
Str. 15 / 46





P
O
E
Z
J
A

II Nagroda
Natalia Paradowska
II LO w Elblągu

Wychodzisz do kiosku. Czuwający świetlik
Obawia się agresywnej bogini

szukam w twoich ustach zachłannej czarnej dziury
niecierpliwie jakbyś miał zaraz pociąg
wytrwale jak gdyby szaleństwo mieszkało w migdałkach

a w tobie światło pulsuje rytmicznie
słowa jak muszla oddechu w marznących dłoniach
i dwa świetliki za uszami

a kiedy wychodzisz na chwilę do kiosku po gazetę
albo zając się resztą świata
wczepiasz mi za ucho świetlika

wiem one mnie nie lubią
bo jestem zmiennocieplna jak jaszczurka
a ta chwila jest dostatecznie długa bym zdążyła zbadać łamliwość skrzydełek

dlatego wierci się na miejscu drga świetlistym odwłokiem
ale wytrzymuje tę chwilę kiedy nie czuwasz nade mną osobiście
byś nie znalazł mnie zimnej i kąśliwej jak ogonogubna zwinka

a kiedy przekręcasz klucz w zamku unosi główkę i rozprostowuje skrzydełka
zanim zdejmiesz kurtkę pokonujesz spieszenie przedsiónek
i wchodzisz do sypialni

przynosisz różę zdejmujesz strużującego owada
kładziesz dłoń na moim brzuchu znów jak ocean spokojny
i tak zasypiasz

wtedy udzielam nam błogosławieństwa
wysypując z płatków drzemiące biedronki
których wsuwasz zawsze kilka w pachnący labirynt dla pewności



Rys. Czesław Gałuszny

LAUR PLATERANKI

- NA ROK PRZED JUBILEUSZEM



III nagroda

Anna Dwojnych

LO im. W. Broniewskiego w Płocku

Moje miasto

Przez moje miasto trzeba prze-
żyć z zamkniętymi oczami.
Latarnie cnotliwe niczym pensjonarki
jakby bały się mocniej zaświecić
by nie dostać w mordę
(w mordę najlepiej dostaje się
w tej bramie gdzie podobno ktoś kiedyś)

W moim mieście uliczni
ce wspinają się na palcach
by zobaczyć swoje odbicie w rzece
innej niż ta za rogiem
bo ostatnie ławki wynajęto
butelkom z agropolu.

Tutaj strach kochać marzyć śnić
połamane sny spotkasz zawsze
przechodząc na drugą stronę ulicy.

Myszy są mało wymagające
mówią rzadko a jeśli już to
przepraszamy nas nie ma
Tę mniej szarą pobili w tym miesiącu
dwa razy ale obiecują że gdy zajdzie po
trzeba mogą też trzeci.

Moje miasto śpi
jak niegrzeczne dziecko przy
rzece poprawę a następnego dnia znów
grzeszy
śni
z kłódką na po
stęp leniwie za nim nie tęskni
czeka na cud
pośród kilku ambitnych dziur
mam w dupie małe miasteczka
które pozwalają odejść lepszym
perspektywom.
Moje miasto śpi
Czekając na eutanazję.

Jeśli by pokusić się o stworzenie wykazu inicjatyw, które wydatnie przyczyniają się do przekształcania „pustyni kulturalnej” – a tym niechlubnym mianem jeszcze do niedawna określano Zagłębie – w oazę życia literackiego regionu, trudno wyobrazić sobie sytuację, w której na takiej liście zabrakłoby – i to na czołowej pozycji – Turnieju Jednego Wiersza o *Laur Plateranki*.

Ów konkurs poetycki adresowany do uczniów szkół ponagimnazjalnych piszących wiersze jest – i to z co najmniej kilku powodów – imprezą na tyle wyjątkową, iż krzywdzącym uproszczeniem byłoby proste zaklasyfikowanie Turnieju do kategorii szkolnych konkursów literackich, jakich obecnie w naszym kraju wiele. Rzadko bowiem który z nich wypracowuje podobny prestiż i popularność, doczekując się statusu turnieju ogólnopolskiego (ba, od kilku lat nawet międzynarodowego!), a zarazem liczącego się wydarzenia literackiego, socjokulturowego i artystycznego.

Choć mam podstawy przypuszczać, że jest to fakt zaskakujący nawet dla samego inicjatora i wieloletniego organizatora Turnieju Jednego Wiersza, pana Michała Walińskiego, w bieżącym roku – wyjątkowo w grudniu, a nie w listopadzie – rozegrana została już XIV edycja *Lauru Plateranki*. Po raz czternasty w auli II LO im. Emilii Plater w Sosnowcu (oczywiście konkurs zawdzięcza swą nazwę patronce szkoły) – oświetlonej jedynie blaskiem świec – zgromadzili się nastoletni autorzy 29 zakwalifikowanych do finału wierszy, które starannie wyselekcjonowano spośród kilkuset zgłoszeń. Prezentację utworów – nierzadko wyrecytowanych osobiście przez przybyłych na tę uroczystość młodych autorów – okraślił jak zawsze znakomicie przygotowany przez uczniów atrakcyjny program artystyczny. Dla mnie bowiem *Laur Plateranki* to nie tylko wydarzenie literackie. Odkąd zostałam stałym bywalcem tej imprezy, siedząc na widowni, z niecierpliwością oczekuję godziny 17, aby jeszcze przed rozpoczęciem części konkursowej dać się zauroczyć znakomicie przygotowanym przedstawieniem teatralnym i popisami wokalnymi. Dla mnie jako pedagoga rzeczą niezwykle budującą jest widzieć współczesną młodzież tak głęboko i autentycznie zaangażowaną w oprawę – wydawać by się mogło stosunkowo mało dla nich atrakcyjnej – uroczystości.

P

O

E

Z

J

A

Nr 1 / 2007
Str. 17 / 46





P
O
E
Z
J
A

Nr 1 / 2007
Str. 18 / 46



Nim zaczęły napływać wiersze na XV – a więc jubileuszowy – Turniej Jednego Wiersza, sięgnijmy pamięcią wstecz do dnia, w którym rozegrany został pierwszy finał *Lauru* inicjujący platerąńską tradycję. Zorganizowany w kwietniu 1993 r. I Turniej z „zaledwie” 32 uczestnikami, głównie ze Śląska i Zagłębia – a to ze względu na lokalny zasięg obiegu informacji o nowym, dopiero co nieśmiało za-inicjowanym przedsięwzięciu – miał stosunkowo jeszcze skromną oprawę i dość kameralny charakter. Jednakże już po roku do udziału w drugiej jego edycji zgłoszono aż 66 wierszy młodych autorów, nadal reprezentujących przede wszystkim Zagłębie i najbliższe okolice. Natomiast w roku 1995 organizatorzy Turnieju dosłownie zasypani zostali lawiną blisko 150 utworów, które napłynęły niemal ze wszystkich stron Polski. Musieli oni zatem dokonać pierwszej w historii selekcji, by do ścisłego finału dopuścić aż 72 teksty. Szybko więc okazało się, że sosnowiecki konkurs spotyka się coraz większym, z roku na rok rosnącym zainteresowaniem, a to zapewne zadecydowało o cykliczności imprezy. Począwszy od I edycji popularność konkursu nie osłabła ani na chwilę, niepostrzeżenie przekraczając nawet granice kraju. W 1998 roku dzięki udziałowi młodego poety z Litwy Turniej uzyskał statusu konkursu międzynarodowego. Rok 1998 i VI edycja *Lauru Plateranki* zasługuje na szczególną uwagę także ze względu na rekordową liczbę uczestników (615 zgłoszeń!), jak również z powodu przesunięcia terminu finałowej rozgrywki z kwietnia na listopad (jak się wkrótce okazało już na stałe).

Mimo że szkolna kronika II LO im. Emilii Plater w Sosnowcu jako datę I Turnieju Jednego Wiersza o *Laur Plateranki* odnotowała dzień 2.04.1993, jego idea zrodziła się dużo wcześniej i w zupełnie innych okolicznościach. Kiedy kilka lat temu pomyślałem, że warto by w szkole zorganizować coś w rodzaju turnieju jednego wiersza czy przetargu poetyckiego o symboliczny laur lub... liść bobkowy, wyobrażałem sobie imprezę pozbawioną raczej cech oficjalności, skromną, by nie rzec zgrzebną. Ot, chociażby taką, jaką w dobrych (tak, tak!) dla kultury studenckiej pięknych prawem młodości latach 60' organizowaliśmy we Wrocławiu z przyjaciółmi z miesięcznika i grupy literackiej AGORA. Zastanawiałem się, czy dałoby się odtworzyć – w innym miejscu, innym czasie, innych warunkach – coś z niepowtarzalnej atmosfery tamtych gorących od metafor i kłótni literackich spotkań – wyznaje polonista, inicjator i wieloletni orga-

nizator konkursu w jednej osobie, pan **Michał Waliński**. *Pomysł zorganizowania turnieju korcił, ale też budził obawy, czy aby będzie jakiś odzew.(...) Rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania, udało się wcielić mgławicowy pomysł w życie, pierwszy z turniejów nie okazał się, ku mojemu zdziwieniu i radości, ostatnim* (M. Waliński, *Od redakcji*, [w:] *III Turniej Jednego Wiersza o Laur Plateranki*, oprac. E. Marzec, M. Waliński i M. Edler, Sosnowiec 1995).

Niewątpliwie Turniej Jednego Wiersza należy postrzegać jako niebywale zjawisko socjokulturowe – chociażby dlatego, że pierwotnie pomyślany jako skromny turniej o zasięgu najwyżej regionalnym, niepostrzeżenie i bez specjalnych zabiegów organizatorów „wymknął się spod kontroli”, aby poprzez rangę konkursu ogólnopolskiego stać się konkursem międzynarodowym. Ponadto konkurs co roku na dobrych kilka tygodni przed jego terminem w magiczny sposób jednoczy grono pedagogiczne, uczniów II LO w Sosnowcu, a nawet jego absolwentów. Wśród osób i instytucji wydatnie przyczyniających się do podtrzymywania tej szkolnej tradycji wymienić trzeba dyrekcję szkoły, I LO im. J. Słowackiego w Chorzowie, pracowników naukowych Uniwersytetu Śląskiego oraz innych uczelni wyższych, jak również sponsorów – w tym także sponsorów prywatnych – którzy pomimo ogólnie trudnej sytuacji ekonomicznej wciąż chętnie wpierają tę wyjątkową inicjatywę.

Laur Plateranki szybko przestał być wyłącznie literackim świętem szkoły. Dziś już na stałe wpisa-



Rys. Czesław Gałuszny

LAUR PLATERANKI

- NA ROK PRZED JUBILEUSZEM - cd



ny jest w kalendarium początkowo wiosennych, obecnie jesiennych imprez kulturalnych w regionie. Stąd też konkurs odbywa się przy wydatnym wsparciu oraz obecności przedstawicieli władz miasta Sosnowca, a także dziennikarzy, którym konkurs zawdzięcza z kolei należne mu wzmianki w lokalnych mass mediach.

Wreszcie Turniej ten zapewne nigdy nie doszedłby do skutku, gdyby nie uczniowskie wiersze. Laur Plateranki wychodzi bowiem naprzeciw silnej w okresie dojrzewania potrzebie podejmowania przez młodzież amatorskiej twórczości literackiej – w tym przypadku twórczości poetyckiej. Jego organizatorzy, aranżując poetycki wieczór, na kilka godzin oddają scenę młodym poetom-amatorom i tym samym stwarzają młodzieży piszącej wiersze okazję do prezentacji własnego dorobku. Innymi słowy impreza dostarcza sposobności do ujawnienia tego, co ukradkiem zapisywane bywa gdzieś na luźnych kartach, lub w opasłych brulionach, natomiast w podręcznikach psychologii rozwojowej znane jest pod pojęciem młodzieńczego pisarstwa okresu dojrzewania. W ten sposób uczniowie szkół ponadgimnazjalnych – którzy tylko znajdują w sobie dość chęci i odwagi, by upublicznić swoje „poezjowanie” – otrzymują niecodzienną szansę na swoisty debiut poetycki, tj. na odczytanie swego utworu przed szerokim audytorium, na profesjonalną ocenę dokonaną przez jury czy wreszcie na nobilitującą publikację własnego wiersza w wydawanym każdego roku poturniejowym tomiku. Jednym słowem jest to dla nich dogodna okazja do skonfrontowania swego talentu i umiejętności pisarskich na drodze pewnego rodzaju rywalizacji i zdrowego współzawodnictwa o pozyskanie palmy pierwszeństwa – w tym przypadku Lauru Plateranki. Kto wie – być może niektórzy uczestnicy konkursu rozpoczynający dopiero przygodę z poezją, zaistnieją kiedyś w życiu literackim, jako poeci dojrzali.

Moja praca doktorska, w której wykorzystane zostały turniejowe wiersze z lat 1993-2002, jest niejako podsumowaniem pierwszej dekady istnienia konkursu. To próba usystematyzowanej, naukowej refleksji na tym, co chyba najważniejsze – mianowicie nad literackimi osiągnięciami młodych uczestników *Lauru Plateranki*.

Turniej Jednego Wiersza, będąc sumą działalności wielu różnych ludzi, nieuchronnie wciąż zmienia

się i subtelnie ewoluuje. Niemniej jednak w twórczości nastolatków – zarówno tej sprzed kilkunastu lat, jak i najświeższej – wnikliwy czytelnik dostrzeże na pewno obecność młodzieńczych problemów okresu dojrzewania. Z kolei znawca literatury współczesnej bez trudu odnajdzie tam powiązania z polską poezją po 1989 roku. Jak dowodzę w mojej rozprawie, te dwie podstawowe tendencje niezmiennie – choć z różną intensywnością – pojawiają się w finałowych wierszach od początku istnienia konkursu.

Spoglądając na młodzieńczą twórczość z perspektywy krytyka literackiego, nietrudno dojść do wniosku, że wiele z wierszy nastolatków, które do tychczas pojawiły się w finale *Lauru Plateranki*, to – zważywszy na bardzo młody wiek autorów – propozycje ciekawe, zaskakujące specyficzną wrażliwością i dobrym warsztatem poetyckim. Co najmniej kilkanaście z nich zaliczyłabym do kategorii „moje ulubione”. To utwory, których lektura była dla mnie przeżyciem estetycznym, intelektualnym i emocjonalnym zarazem. A siły tego przeżycia nie umniejsza bynajmniej fakt, iż u mnie, belferki, wywołały go jak by nie było wiersze ... uczniowskie. Aby szybko utworzyć własną poetycką „listę przebojów” wystarczy ... sięgnąć po turniejowe tomiki, do czego z pełnym przekonaniem zachęcam.



Rys. Marcin Malicki

P
O
E
Z
J
A

Nr 1 / 2007
Str. 19 / 46





Karolina Siemiacka

RYTUALNY TRENING AKTORA KATHAKALI

D
E
S
K
I

Pierwszym elementem, który rozpoczyna cały proces twórczy, jest trening. Eugenio Barba utożsamia ćwiczenia z amuletem, *który aktor nosi z sobą – nie po to jednak, żeby go pokazywać, lecz by zaczerpnąć z niego pewną jakość energii (...)*.¹ W ćwiczeniu istnieją napięcia, znieruchomienia, punkty zwrotne, opozycyjne wygięcia ciała i intensywności rytmu, wszystkie te elementy składają się na fazy. Dzięki tym fazom istnieje pewna ciągłość, pozwalająca pamiętać i myśleć o najmniejszych, kolejnych działaniach. W ten sposób technika ćwiczenia pozostaje bez zmian. Zmienia się natomiast stan psychiczny i fizyczny aktora, jest on więc świadomy, że pomimo pewnej strategii ćwiczeń, nie są one idealnie powielane, ale zachowują pewien kształt. Ćwiczenia zapewniają przekształcenie codziennego zachowania w zachowanie niecodzienne. Działania fizyczne uczą powtarzania, doskonalenia wy-najdowanych szczegółów, wyrzeczeń, uodpornienia na zmęczenie fizyczne i psychiczne. Pomagają przekroczyć pewien skostniały schemat myślenia o własnym ciele jak o narzędziu ruchów codziennych. Uwalniają ciało zdeterminowane przez płęć i wymagane zachowania kulturowe. Stawiają aktora do walki z własnymi ograniczeniami, wewnętrznymi, osobistymi przeszkodami. Uczą aktora spełniać wymagania stawiane przez rolę, nie zamykając go w niej, lecz przygotowując do każdej improwizacji. Odnajduje on równowagę między dwiema energiami animus i anima, które na co dzień, jedna nad drugą dominuje, w zależności od płci. W treningu aktor wyraża siebie. Ćwiczenia wyzwalały emocje, posługują się nimi i panują nad nimi. Poprzez swoje ciało aktor ukazuje swoją indywidualność, ekspresję płynącą z wewnątrz, uzewnętrzniającą się ruchem. Aktor musi mieć świadomość obrazowego charakteru własnego ciała. W kontekście tak przedstawionej teorii treningu, przejdę do konkretnych przykładów.

Sztukę kathakali przyswaja się już w dzieciństwie, ze względu na sprężystość ciała, toteż wiekiem rozpoczynającym naukę jest dwanaście, trzynaście lat. Podczas rekrutacji do szkoły, w której

w sumie nauka trwa dziesięć lat, na pierwszym miejscu ważne są warunki fizyczne ucznia (kobiety nie uczą się i nie występują w kathakali), np.: duże oczy, a dopiero później zwraca się uwagę na poczucie rytmu, ponieważ aktor w przedstawieniu nie tworzy muzyki. Przyjmowani są na podstawie surowego egzaminu, oceniani są ze sprawności ruchowej, aparycji, rytmiki, a nawet stanu zdrowia. Bardzo skromnie mieszkają w chatach, będących rodzajem internatu, gdzie śpią na matach, nie mają mebli i muszą ograniczyć się do minimum w ilości posiadanych rzeczy osobistych. Choć kary cielesne nie są do końca pewne, to zdarzają się relegacje, za brak znieruchomienia w jakiejś niewygodnej pozycji ćwiczeniowej, trwającej nawet godzinę. Strategie rytualizacji treningu Renik wyraźnie dookreśla nie tylko w technice wykonywania ćwiczeń, ale również w czasie i przestrzeni, ponieważ znaczenie ma podział roku na dwa okresy: monsunowy (od czerwca do sierpnia) i pozamonsunowy (od września do marca), podział tygodnia, dnia, a nawet faz księżyca. W systemie karelskich przekonań są dni, w których należy rozpoczynać naukę takie jak: poniedziałek, czwartek i sobota, oraz dni nie wskazane dla treningu: wtorek, piątek i niedziela. W dodatku istotną rolę pełnią fazy księżyca, i tak właściwym dniem treningu jest dokładnie drugi dzień po pełni lub nowiu, a niewłaściwym jest ósmy dzień.² Zdarza się tak, że odpowiedni dzień tygodnia może nałożyć się z niewłaściwą fazą księżyca, wówczas uczeń i mistrz cierpliwie czekają na sprzyjający termin. Do miejsca ćwiczeń również przywiązują olbrzymią wagę, gdyż dawniej były to świątynie, wówczas trening poprzedzały modlitwy, aktualnie są to specjalnie wyznaczane miejsca, wobec których przed rozpoczęciem wykonuje się pięć rodzajów ukłonów. Przed rozpoczęciem treningu, uczeń wręcza podarunek swojemu mistrzowi, który daje uczniowi przepaskę lędźwiową, jako stój do ćwiczeń, po czym odmawia modlitwę, polecającą ucznia bogom. Następnie uczeń pada przed mistrzem i prawą ręką dotyka jego stóp. Po akcie wyrażenia szacunku, obydwójce wykonują pięć pokłonów, gdzie każdy zawiera w swym znaczeniu inny cel. Ostatni

¹ E. Barba, N. Savarese: *Sekretna sztuka aktora*. Słownik antropologii teatru. Pod red. L. Kolankiewicz. Wrocław 2005. S. 24.

² K. Renik: *Kathakali – sztuka indyjskiego teatru*. Warszawa 1994.

pokłon oddawany jest miejscu treningu. Po tak zrytualizowanym rozpoczęciu, uczeń prawą ręką dotyka podłogi i własnego czoła, w ten sposób „wchodzi” na miejsce treningu. W okresie monsunowym zwiększa się intensywność ćwiczeń, które rozpoczynają się treningiem oczu od godziny 4.30 do 6.30 rano. Trenują wówczas nie tylko ruch oczu, który zawiera konkretne wskazówki, ale również całą twarz, mięśnie policzków i ust. Ćwiczenia oczu i twarzy zapewniają przyszłym aktorom doskonalszą mimikę. Wyróżniają dziewięć skodyfikowanych min. Powtarzają dziewięć ruchów gałek ocznych,



Rys. Czesław Gałuszny

w różnych tempach, by podczas przedstawienia, właściwie podążały za ruchem dłoni. Trening twarzy wykonywany jest podczas obu okresów i monsunowego i pozamonsunowego. Natomiast tylko w okresie monsunowym wykonywana jest technika masażu, chroniącego przed kontuzjami i zwiększającego sprężystość ciała, oraz skoki, praca nóg, rodzaje kroku i ruchy tułowia. Strategia masażu jest skomplikowana, wykonuje go mistrz, za pomocą stóp, używając do niego specjalnych olejków. Czas masażu jest ściśle zrytualizowany, jego intensywność wzrasta przez pierwsze piętnaście dni, po nich następuje stabilizacja przez trzydzieści dni i przez kolejne piętnaście dni powoli się zmniejsza. W ciągu jednego dnia rodzaje ćwiczeń dzielą się na wczesnoporanne, poranne, popołudniowe i różnią się

stopniem zaawansowania ucznia. Uczniowie rozpoczynający naukę na zajęciach przedpołudniowych, ćwiczą mudry złożone z ośmioma rodzajami kroków, trenują fragmenty taneczne i kontynuują rozciąganie ciała. Uczniowie wyżej zaawansowani na zajęciach popołudniowych, w pozycji siedzącej, udoskonalają dwadzieścia cztery mudry proste i mudry złożone oraz sześć wzorców rytmicznych. W dalszych latach nauki, rozpoczyna się praca nad rolami małymi, średnimi i głównymi. Pod koniec pierwszego sześcioletniego etapu szkolenia, uczniowie specjalizują się w konkretnej roli, odpowiadającej im pod kątem indywidualnych warunków fizycznych oraz mają wyćwiczone wszystkie szesnaście ról tradycyjnego repertuaru. Uczeń i aktor, przygotowując się do roli, najwięcej pracy poświęca treningowi fizycznemu, rezygnując tym samym z analizy psychologicznej postaci. Jest to wynik dwóch podstawowych faktów, po pierwsze: postać wyraża się na scenie poprzez ciało i ekspresję aktora i po drugie postacie to zwykle bogowie i herosi, a więc przedstawiciele świata nierzeczywistego, których nie można analizować w ludzkim rozumieniu. Próby odbywają się bez kostiumów i makijażu. Uczeń pierwszy raz jest w pełni ucharakteryzowany w chwili kiedy wychodzi na scenę i dopiero podczas przedstawienia, wcielając się w postać, jednocześnie uczy się poruszać w kostiumie. Artyści kathakali wierzą, że powinni potrafić wykonywać skomplikowane gesty z identyczną łatwością bez kostiumu jak i w kostiumie. Takiej fizycznej pewności na scenie, umożliwia im rzetelny trening.

Kształcenie artystów kathakali odbywa się poprzez naśladownictwo. Uczeń i mistrz siadają naprzeciw siebie, uczeń obserwuje działania swojego guru i powtarza za nim. W ten sposób zwraca uwagę na każdy szczegół, uczy się cierpliwości, nabiera szacunku do zdobywanej wiedzy, gdyż ma świadomość tego, że w przyszłości ktoś będzie powielał jego wiedzę i umiejętności. Taki system nauczania nazywa się gurukulam i aktualnie według Renika stopniowo zanika, ze względu na zinstytucjonalizowanie szkolnictwa. Jednak są jeszcze szkoły, w których, tak jak dawniej, relacje między mistrzem a uczniem są silne. Dawniej uczeń mieszkał u swojego nauczyciela, by móc stać się prawdziwym spadkobiercą jego światopoglądu, ponieważ kathakali jest nie tylko widowiskiem teatralnym, wymagającym ścisłej techniki, ale również rodzajem filozofii i sposobu postrzegania świata.





toko

PAUL GODWIN - ZAPOMNIANY „CHŁOPAK Z SOSNOWCA”

Urodził się w marcu 1902 roku w Sosnowcu, dwa miesiące przed Janem Kiepurą. Nie wiemy nic bliższego. Prawdopodobnie – wiele na to wskazuje – że ojciec przyszłego skrzypka był kantorem w sosnowieckiej synagodze. Paul miał starszego brata, póź-



niej hotelarza prowadzącego aż do wybuchu drugiej wojny światowej renomowany hotel przy ulicy 3 Maja 11. Młodzieńki Pinkas, cudowne dziecko, tam właśnie po raz pierwszy występował publicznie wydobywając ze skrzypiec wszelkie dostępne mu wówczas cudowności. Rodzina

nosiła nazwisko Goldfein. Nazwisko Godwin i imię Paul to artystyczny pseudonim, który przybrał w dwudziestych latach w Berlinie, gdzie rozpoczął swą błyskotliwą karierę.

W roku 2002, w roku jubileuszu miasta, opublikowałem w miejscowym „Kurierze Miejskim” pierwszy artykuł o owym nieznanym „chłopaku z Sosnowca”. Nie kryłem chęci przybliżenia ziomkom postaci i zainteresowania miejscowych muzyków. Niechby sięgnęli do bogatej dyskografii pozostawionej przez orkiestrę Paula Godwina, by zaczęli grać, koncertować, sławiąc miasto, siebie i skrzypka. Artysty tyleż wybitnego co tragicznego. Z wiadomych względów. Przyszło Mu przecież żyć w czasach strasznych, gdy obłęd garstki zbrodniarzy ogarnął miliony. Paul Godwin z całej, licznej, sosnowieckiej rodziny został sam.

Pinkas Goldfein odebrał staranne muzyczne wykształcenie w Warszawie, Budapeszcie, wreszcie w Berlinie, gdzie ostatecznie osiadł na dłużej. Tu zasłynął. Oczywiście w początku lat trzydziestych trzeba było Berlin porzucić. Przyszło srogie rozczarowanie postawą większości niemieckiego społeczeństwa, trzeba było wyjechać, ukrywać się, znosić tysiące upokorzeń, ale przecież dla zyskującego coraz większą sławę muzyka, dla Paula Godwina to Niemcy właśnie stały się najbliższym Mu krajem. Dawał temu wyraz nawet wówczas, gdy po wojnie został obywatelem holenderskim i tam spędził najdłuższy okres swego życia. W roku 1933 osiadł w Amsterdamie, tu przeżył wojnę i długi pobyt w amsterdamskim getcie i tu wreszcie udało Mu się skryć skutecznie i uniknąć ostateczności. W getcie też prowadził orkiestrę.

W połowie grudnia 2002 roku rozgłośnia publicznego, niemieckiego radia z Berlina wyemitowała w eter audycję przygotowaną z okazji 20. rocznicy śmierci Paula Godwina. Był to wieczór wspomnień gęsto przeplatany nagraniami bohatera audycji z różnych okresów jego twórczości. W części słownej wypowiadali się znający go ludzie, przypominano najważniejsze szczegóły biografii – znalazło się sporo miejsca dla Sosnowca. Nagranie audycji zawdzięczałam pani Renacie Rosenbusch, od której listu z sierpnia 2002 roku zaczęło się moje zainteresowanie muzykiem. Dowiedziałem się więc z berlińskiego radia nieco więcej. Ot, przybyły takie ciekawostki na przykład, że w latach pięćdziesiątych Paul Godwin przedsięwziął próbę „sentymentalnej wycieczki” do Sosnowca, do krainy dzieciństwa, gdzie zginęła cała jego rodzina. Ówczesne władze PRL były uprzejme odmówić skrzypkowi wizy. Więcej prób nie podejmował. Albo to, że po wspólnym koncercie z Yehudi Menuhinem w Amsterdamie w 1972 roku, co było swoistym ukoronowaniem kariery skrzypka, siedemdziesięcioletni wirtuoz zamilkł ostatecznie.

Paul Godwin największe tryumfy święcił jako wykonawca, aranżer i kompozytor muzyki tanecznej, rozrywkowej i filmowej. Był jednym z pionierów filmu dźwiękowego. Ale nie stronił przecież od poważnego repertuaru, zwłaszcza w latach powojennych, czego wyrazem i szczytem był wspomniany już wspólny koncert z Yehudi Menuhinem. Paul Godwin był także swoistym rekordzistą w nagraniach płytowych. W latach dwudziestych i trzydziestych, więc niemal u zarania nowoczesnego przemysłu fonograficznego, krążki z nagraniami „Paul Godwin Orchestra” dostępne były we wszystkich miastach Europy i Ameryki. Tylko w rodzinnym Sosnowcu jakoś wciąż o Nim głucho. Zresztą w całej Polsce też.



Jakub Ziobroń

MILLERS CROSSING

- CIEMNE KAPELUSZE I TOMMYGUN



Zanim przejdę do meritum, kilka słów wstępu. Przepadam za kryminałami, od tych starych czarno-białych po najnowsze, lubię też czasami wracać do ulubionych obrazów, choćby po to, by zamiast skupiania się na dobrze znanej fabule, poświęcić się wychwytywaniu smaczków. Akurat ostatnio zobaczyłem po raz kolejny „Millers Crossing”, film nie tak znowu stary, ale też żadną nowość. Smacznych przystawek, jak to w przypadku braci Coen w nim dużo. Kto nie widział jeszcze, niech zobaczy, a kto nie wie kto to Ethan i Joel Coenowie to niech natychmiast biegnie nadrobić zaległości, bo naprawdę warto.

O braciach Coen napisano, że lubią się bawić kinem. Zawsze oryginalni i niezależni robią filmy dla kinomaniaków, takich jak oni. W ich dziełach pełno jest cytatów, odsyłających do innych filmów. Nie tyle łamią konwencje, co doprowadzają je do granic absurdu. Zaprawione często bardzo czarnym humorem filmy zamykają widza w całkowicie wyimaginowanym i szczelnie zamkniętym świecie. Są niczym szklane kule ze sztucznym śniegiem. W „Millers crossing” z 1990 roku, jednym z pierwszych ich obrazów, wykorzystali czarny kryminał jako podstawę swojej opowieści. Ponieważ właśnie lubią opowiadać, i robią to bardzo dobrze, otoczka jest najczęściej pretekstem do jakiejś historii.

W tym przypadku akcja filmu rozgrywa się w nienazwanym amerykańskim mieście czasów prohibicji. Ale bracia Coen nie silą się na realizm, wzięli za to wszystkie najważniejsze cechy kryminału tamtych lat i wrzucili do jednego worka. Wszystko, co widzimy, kojarzy się, nie z tamtymi czasami, ale właśnie z filmami dziejącymi się w tym okresie. Panowie w ciemnych płaszczach i kapeluszach, skorumpowani szefowie policji, czy nawet mały brzdąc i jego pies. Wszystko to jest niczym wyciśnięty sok z cytryny, i nie ma nic innego.

Oglądając ten film czasami człowiek ma uczucie „ja już to gdzieś widziałem”. Cytaty twórców, nie są nachalne, stanowią jakby wstęp do subtelnej gry z widzem. Sama zagadka kryminalna, wojna gangów stanowi tylko tło do ukazania

przeróżnych charakterów i relacji między nimi. To w tym filmie, moim zdaniem jest najważniejsze i chyba w większości filmów braci.

Jak już napisałem, Coenowie stworzyli świat złożony z wyobrażeń na temat czarnego filmu, kryminału dziejącego się w latach trzydziestych. Nic więc dziwnego, że większość postaci w tym filmie jest pewnymi archetypami, a nawet karykaturami.

Jak każda dobra historia „Millers Crossing” rozpoczyna się prologiem, w którym widz słyszy podniosłą i niemal patetyczną przemowę „o przyjaźni, charakterze... etyce”. Wszystko to brzmi pięknie do póki nie okazuje się, że autorem tego monologu jest Johnny Caspar, jeden z bossów mafii, a sama mowa ma udowodnić, że jeden z jego bukmacherów oszukuje go i powinien zostać zlikwidowany.

„(...)Dochodzi do tego, że nie można już oczekiwać zysku z ustawionej walki. Jeśli nie można polegać na ustaleniach, to w co można wierzyć? W końcu będziesz musiał stawiać na chybił trafił, a dalej to już prosta droga do anarchii. Z powrotem do dżungli.”

W tym momencie poznajemy cztery z najważniejszych osób w tym filmie. Johnnego Caspara, i jego podwładnego Eddiego Dane oraz Leo O'Banniona, szefa całej mafii w mieście wraz z, pierwszej chwili tak nam się wydaje, swoją prawą ręką – Tomem Reaganem. Ten ostatni, będzie głównym bohaterem całego filmu, a może raczej antybohaterem.

Cyniczny szuler bez skrupułów doradza zlikwidowanie bukmachera, ale bynajmniej nie dla utrzymania pokoju, ale by wybrać bardziej odpowiedni moment do wojny. Zimny drań nadużywający alkoholu, ale z drugiej strony człowiek z zasadami, charakterem. Gdy nie chce przyjąć pieniędzy od Leo na pokrycie swoich długów, to uważny widz powinien się zastanowić, co tak naprawdę łączy go z tym mafiosem „o gołębim sercu”.

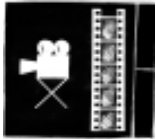
Niejednoznaczność głównego bohatera, stanowi główną, moim zdaniem oś filmu. W zasadzie jest jedną postacią, której motywów nie są wi-

O
K
I
E
M

K
R
Y
T
Y
K
A

Nr 1 / 2007
Str. 23 / 46





doczne na pierwszy rzut oka, a nawet na drugi czy trzeci. Tak jakby był jedyną „poważną” postacią, wrzuconą w środek pastiszu o gangsterach.

Jeżeli przyjąć, a nie będzie to raczej bezpodstawne założenie, że w filmach braci Coen nic nie jest pokazane bez powodu, to powracający sen Toma o kapeluszu, do którego zresztą jest bardzo przywiązany, porywanym przez wiatr w środku lasu, musi coś znaczyć. Czy jest to zapowiedź następnych wydarzeń, które porywają głównego antybohatera? Jest to jakieś wytłumaczenie. Jednakże moim zdaniem, istnieje pewien trop, który może nam odnaleźć lepszą interpretację. Tym tropem jest muzyczny motyw przewodni. Millers Crossing wypełniają naturalne dźwięki, jeżeli słyszymy jakąś melodię to płynie ona z jakiegoś źródła znajdującego się na planie. Jest jednak wyjątek, wspomniany sen oraz momenty w których Tom spotyka Vernę.

Tutaj zatrzymajmy się na chwilę aby przybliżyć jej osobę. Jak każdy rasowy kryminal, ten także nie mógł się obyć bez femme fatale. Verna jest siostrą Berniego, bukmachera-oszusta, o którego wojnę rozpoczynają Leo i Caspar. Zrobi wszystko, aby ratować brata, dlatego uwiodła Leo. Jest także kochanką Toma, chociaż ten nie wydaje się być tak bardzo podatny na jej wpływy. Nie jest słabą kobietą, wie czego chce i dąży do celu po trupach. Nawet kosztem wojny gangów.

Nasuającym się wyjaśnieniem snu Toma, a w zasadzie uciekającego kapelusza może być Verna. Chociaż, sam tego nie jest w stanie przyznać, mimo wszystko pociąga go ta kobieta. Takie odczytanie wizji zwiewanego kapelusza, sugeruje Ona sama, kiedy mówi „Próbowałeś go łapać, prawda? Wciąż biegłeś. Aż w końcu go chwyciłeś. I podniosłeś go, ale to już nie był kapelusz. Zamienił się w coś innego, coś cudownego.”

Drobne sugestie, małe niedopowiedzenia, służą uwodzicielce do przekazania Tomowi, że gdyby tylko zechciał, była by jego. Ale na to nasz bohater jest zbyt mądry, albo zbyt cyniczny. A najprawdopodobniej jedno i drugie. Sam zresztą mówi że”...nie ma nic głupszego, niż facet uganiający się za kapeluszem”.

To zgrabne, mam nadzieję, wyjaśnienie snu, nie jest jednak całkowite. Twórcy tego filmu, nie

byliby chyba sobą, gdyby nie dołożyli możliwie dużo znaczeń. Trop muzyki, prowadzi nas również do momentów, kiedy bohater ma zabić człowieka. A dokładniej brata Verny – powód całego zamieszania. Okazuje się to nie takie łatwe, szczególnie, że jak się dowiadujemy nigdy wcześniej nikogo nie zamordował.

Muzyka ze snu, stopniowo przechodzi od łagodnych dźwięków w mroczne brzmienie. W samym filmie zależnie od sytuacji słyszymy albo miłe dla ucha melodię lub ponurą. Sama wizja jest więc połączeniem obu, miłość i śmierć w jednym.

Jak wspomniałem wcześniej postać Toma Reagana jest osią filmu. Z pozoru wydaje się podobny do burmistrza i szefa policji. Są oni jakby jęczyczkiem wagi pokazującej przewagę jednej z walczących stron w mieście. Lojalni tylko temu, kto jest silniejszy. Na pierwszy rzut oka, nasz bohater reaguje po prostu na wydarzenia i z zimną logiką podejmuje decyzje, które pozwolą mu przetrwać. Moim zdaniem to jednak zbyt płytkie wytłumaczenie. W końcu sam powtarza „nic nie robi się bez powodu”. Mimo, że każda z postaci ma jakieś motywy swoich działań, to jednak Tom zdaje się kierować rozwojem akcji. Kiedy broni Leo, robi to z całą stanowczością. Nie boi się poświęcić własnego bezpieczeństwa i wpływów, jakie ma, przynajmniej się do związku z Verną. Gdy przechodzi do drużyny Caspara, okazuje się, że teraz Włoch ma przewagę, znowu staje przy boku silniejszego. Ale nie broni go już tak zjadle.

Co więcej w pewnym momencie zaczyna kłamać, z premedytacją oszukiwać. Powierzchna interpretacja może wyjaśnić to chęcią pozbycia się prawej ręki Caspara – Eddiego. Podejrzliwy i zazdrosny o wpływy jest od początku zagrożeniem. Dzięki jego śmierci sam Reagan mógłby stanąć przy boku Caspara. Jednakże nie o to mu chodzi.

W chwili gdy postanawia współpracować z Włochem i wydać mu Berniego widać moment dłuższego zastanowienia, być może wtedy zrodził się jakiś Plan, być może zdaje sobie sprawę, że pierwszy raz skazuje człowieka na śmierć. Okazuje się jednak nie być zdolny do pociągnięcia za spust. W końcu jednak, paradoksalnie dzięki postępowaniu samej ofiary, zabija. Intryga, którą uknuł doprowadza do śmierci także

MILLERS CROSSING

Caspara i Eddiego. A samemu Tomowi daje go-tówkę by spłacić swoje długi.

Leo znowu staje na czele całego miasta. Wszyscy dookoła widzą w tym zasługę Reagana. Sam Leo oczywiście również. Mimo to chyba nikt, nie jest w stanie odczytać prawdziwych intencji, które nim kierowały. Kiedy na końcu filmu, godzi się ze swoim dawnym, szefem, otrzymuje propozycję powrotu na dawne miejsce. Odrzuca ją. Leo prosząc go o to by mógł go znowu zatrudnić, nie rozumie tak naprawdę jego postępowania. Uważa to wszystko za zmyślny plan, który powstał w imię daleko pojętej lojalności wobec niego – szefa.

Lecz nie jest to historia o lojalności, ale o przyjaźni. Tom Reagan, moim zdaniem, przez cały czas uważał się za przyjaciela Leo O'Banniona. I wszystko cokolwiek zrobił o tym świadczy, opuszczony wyświadcza mu ostatnią przysługę. Ale nic, nie może być takie jak dawniej. Wbrew pozorom to nie Tom traci, ale Leo. I Verna, która jakby na złość wychodzi za mąż za O'Banniona. Bohater, który nie złamał swoich zasad, zostawia samym sobie tych dwoje, na których mu zależało. Ponieważ to oni zdradzili jego. „Nie ma nic głupszego, niż facet uganiający się za swoim kapeluszem”.

Film braci Coen osobiście uważam za jeden z majstersztyków kina rozrywkowego. Nie ukrywajmy, że przynosi on nam wiele radości z samego oglądania, nawet nie wgłębiając się w skomplikowane analizy. W zasadzie wszystko co widzimy na ekranie zostało tam umieszczone z premedytacją. Nie ma niczego, co nie pełniłoby jakiejś funkcji. Nawet wystrój wnętrz, szczególnie w mieszkaniu głównego bohatera, zredukowany jest do niezbędnego minimum. Piękno leży w prostocie.

Pozwala nam się skupić na barokowej niemalże konstrukcji postaci, intrygi, dialogów, cytatów i odniesień. Każdy z bohaterów, mimo, że oprócz tego głównego, będąca raczej archetypem, nie pozbawiona jest smaczków, które ją ubarwiają. „Millers Crossing” nie pozbawiony jest też humoru, czarnego a jakże, w większości kryjącego się wewnątrz świetnych dialogów, pełnych paradoksów i ciętych ripost. Jednakże

pozostałby tylko zwykłym pastiszem, gdyby nie konstrukcja głównego bohatera.

Paradoksalnie, wszyscy w filmie znają Toma Reagana. Tak jakby zdawali sobie sprawę, iż to on najbardziej ze wszystkich jest „prawdziwy”, najbliższy oryginalnych bohaterów kina gangsterskiego, a przez to rzeczywistości. Jego motyw, postępowanie nie można wytłumaczyć w łatwy sposób. Jest człowiekiem z zasadami i skomplikowanym charakterem. Po obejrzeniu „Millers Crossing” zastanawiamy się, nie nad intrygą, ale nad motywami głównego bohatera. To tak naprawdę jest zagadką, przez cały film. I stanowi o jego niewątpliwie wysokim poziomie.

Ponieważ jest to film, który mówi o przyjaźni, mówi o charakterze, cholera, nie zawaham się użyć tego słowa... mówi o etyce.



OKIEM KRYTYKA



Nr 1 / 2007
Str. 25 / 46



Rys. Czesław Gahuzny



toko

CO W NAWIASIE?

L
I
T
E
R
A
T
Y
K

Wyznam szczerze, że wszelkie chwyt w rodzaju brania treści książki w nawias, pisania całości bez znaków przestankowych czy też bez wielkich liter i tym podobne dziwactwa budzą moją nieufność. Prawdopodobnie w wielu przypadkach nieuzasadnioną, ale wystarczyło, że kiedyś dałem się nabrać... Na szczęście tej książki tylko nawiasy dotyczą. * Dlatego też do lektury „Opowieści nawiasowej” Marcina Pilisa przystępowałem zjeżony, ze złośliwym błyskiem w oku i nieskrywaną chęcią przyłapania autora na czymś brzydkim. Prolog mnie nie zawiódł. Przełamałem się jednak i chociaż tytuły rozdziałów składające się z cyferek (na domiar złego od strony 13) wzmogły tylko moją podejrzliwość, dałem się ponieść. Opowiadanie zaczęło się toczyć całkiem ciekawie, styl miejscami urzekał, język kusił żartem. I tak dałem się wciągnąć w historię miejscami zabawną, chwilami – proszę wybaczyć – nudną, ale przecież zostawiającą w pamięci czytelnika wyraźny ślad. Potem dopiero, uwierzcie proszę, przeczytałem *posłowie* Artura Żywiółka. Dowiedziałem się więc co nieco o autorze. Marcin Pilis jest dziennikarzem, prowadzi „Kurier Jurajski” i mieszka w Myszkowie. Co z tego wynika? Właściwie nic, choć może atmosfera i topografia Myszkowa dała autorowi tło do swojej, prawie miłosnej historii? Je-

śli nawet, to też nie wielkiego, bo przecież nie o myszkowskie ploteczki chodzi. Powieść przerasta prowincjonalne odniesienia i może być czytana bez wstrętu także przez mieszkańców innych zgoła regionów. Ale czy będzie? Otóż obawiam się, że nie. Konkurencja wszelkiej maści czytadła nie da się przebić i doprawdy trudno będzie autorowi zaistnieć na ogólnokrajowym rynku. Zły to czas na literackie eksperymenty, a za taki uznaję debiutancką powieść Marcina Pilisa. Pocięchą – wcale nie małą – niech będzie chrystusowy wiek autora, czyli, że wszystko ma jeszcze przed sobą oraz zawód dziennikarza, który powinien uczyć dyscypliny i panowania nad słowem. Jeśli wolno radzić (pouczał Marcin Marcina) śmiało skróty tu i ówdzie zapewne wyszłyby narracji na zdrowie. Tak czy siak książka nie powinna być przemilczana, zwłaszcza w takim piśmie jak „Art Anons”, chociaż pastwić się nad nią powinni raczej młodzi, gniewni poloniści.



* Marcin Pilis, *Opowieść nawiasowa*. Wydawnictwo Progres, Sosnowiec 2006.

PROFESORA WÓJCICA IMPRESJE I SPOTKANIA

Nr 1 / 2007
Str. 26 / 46

ART ANONS

Czytelnikom „Art Anonsu” przedstawiać prof. Włodzimierza Wójcika, jak miniemam, raczej nie trzeba. Nie wszyscy natomiast wiedzą, że tuż przed ukazaniem się pierwszego numeru naszego magazynu spod pras drukarskich wyszły dwie książki jego autorstwa. * Obie są plonem wielu lat pracy, bowiem zawierają szkice literackie, felietony, wystąpienia na spotkaniach i konferencjach w latach pełnej, zawodowej aktywności Profesora. Starannie zebrane w dwa tomiki są obrazem publicystycznego dorobku Włodzimierza Wójcika w sposób niezwykle związanego z Zagłębiem Dąbrowskim. Czegóż tu nie ma? Jest o Różewiczu i Wygodzkim, o Szewczyku i Pierzchale ale też o Zegadłowiczu i Piłsudskim. Wszystko w przedziwnym powiązaniu z rodzinnym Zagłębiem. Tom „Spotkania” wstępem po-

przedził dr Paweł Majerski, tom „Impresje” prof. Marian Kisiel, obaj uczniowie Profesora.

Włodzimierz Wójcik nic nie stracił ze swej aktywności. Wciąż jest zainteresowany wszelkimi przejawami życia kulturalnego w swym ukochanym Zagłębiu i niezmiennie łaskawie patrzy na młodych. Nie przypadkiem Jego nazwisko obecne było w numerze zerowym naszego pisma, jest obecne w bieżącym i – mamy nadzieję – w wielu następnych. Wszystkich zainteresowanych, studentów zwłaszcza, zachęcamy do sięgnięcia po promowane tu książki. To ważna i pouczająca lektura.

* Włodzimierz Wójcik, *Spotkania zagłębiowskie*. Wyd. Agencja Artystyczna PARA, Katowice 2006.

Włodzimierz Wójcik, *Zagłębiowskie impresje*. Wyd. Agencja Artystyczna PARA, Katowice 2006.

Małgorzata Stępień

TATUAŻ W POLSCE - KICZ CZY SZTUKA PRZEZ „S” ?



A
R
T
K
O
K
T
A
I
L

Nr 1 / 2007
Str. 27 / 46

art. NENS

Ostatnia dekada XX wieku była dla naszego kraju przełomowa pod każdym względem. Rozwijająca się demokracja spowodowała znaczące przemiany ustrojowe, jak również liberalizację życia na płaszczyźnie politycznej, społecznej i kulturowej. Po zniesieniu cenzury w mediach, zaczęło się upowszechnianie oraz promocja nowych wzorców zachowań i nowego stylu życia. Charakterystyczną cechą stało się podkreślanie jednostki oraz wartościowanie jej indywidualizmu, a także tolerancja dla różnego typu odmienności. Nowe spojrzenie na zjawisko tatuażu, znane dotychczas tylko na zachodzie Europy, pojawiło się również w kulturze polskiej. Tak zwane „dziary” przestały być postrzegane tylko jako piętno subkultury więziennej lub znaki związane z profesją marynarza, ale jako zjawisko należące do dziedziny sztuki „body art”. Malowanie, eksponowanie i ranienie ciała, wyrosło między innymi ze sztuki performance oraz happeningów lat sześćdziesiątych. Ludzkie ciało jako nośnik informacji, staje się tworzywem w rękach artysty-rzemieślnika. Mimo iż sztuka zdobienia ciała towarzyszyła człowiekowi od zawsze, to jednak nadal wzbudza ona wiele emocji. Modyfikacja ciała w postaci tatuażu bądź licznych kolczyków w dalszym ciągu napawa odrazą. Ból towarzyszący procesowi twórczemu jest częścią „body art”. Jest zawsze obecny przy jej powstawaniu, to proces samopoznania, takie też było jego pierwotne znaczenie znane na przykład z różnych rytuałów plemiennych. Co nie znaczy, że dla każdego posiadacza tatuażu jest istotnym elementem. Tatuaż jest tak stary jak stara jest kultura, ponieważ jest jej częścią i częścią nas. Tradycyjny tatuaż w społecznościach plemiennych oprócz funkcji dokumentalnej posiadał również wymiar mistyczno-symboliczny a także ogromne wartości artystyczne.

Tatuowaniu ciała towarzyszą ambiwalentne odczucia. To co dla jednych jest sztuką dla innych jest kiczem, ale kicz również należy do sfery estetyki, może się podobać. Kiczu nie da się wstawić w ramy jednoznaczności: chałwatość bądź sielskość czy anielskość, jest to pojęcie relatywne. Powszechnie za kiczowate uchodzą motywy różyczek, serduszek, delfinów, aniołków, motylków, orłów czy tygrysów. Jak napisał Michał Głowiński: „Kicz nie znosi zastanawiania się nad samym sobą”, dlatego najczęściej są

to motywy banalne, szablonowe, słabe artystycznie i estetycznie. Mimo to przeciętność obrazu, jego prze-rysowanie bądź przejawienie często spotyka się z rehabilitacją. Niezrozumiana w Polsce, typowa amerykańska „old school” owa „dziara” w postaci kotwic, nagich panienek, serc przebitych strzałą i tym podobnych motywów, zdegradowana została do kiczu. „Old school”, choć nadal mało popularny w naszym kraju, obecnie spotyka się z rehabilitacją, zjawisko to można by określić mianem „new old school’u”. Niestety nie wszyscy posiadacze tatuażu są w pełni świadomi swoich upodobań. Zwykle zdarza się, że robiąc sobie tatuaż, kierują się jakimś trendem bądź chwilowym kaprysem. Zrobiony niechłujnie ręką amatora nieprzemyślany tatuaż traci kiczem, świadcząc tym samym tylko o bezguście jego posiadacza. W żadnym wypadku nie jest wtedy czymś istotnym a już tym bardziej sztuką. Ranienie ciała jest w „body art” zabiegiem artystycznym. Ból jest nieodzownym elementem całego procesu twórczego, towarzyszy stale tej sztuce, powinien więc towarzyszyć jej usuwaniu.

Powodem dla którego nie wszyscy decydują się na zrobienie sobie tatuażu, jest jego trwałość. Na całe szczęście, świadomość tego że jest on trwały, stopniowo eliminuje wszędobylski kicz, który sprawia że tatuaż nie zdobi, ale szpeci ciało, dodatkowo nie mając – zarówno w sobie jak i dla jego posiadacza – żadnego znaczenia. Osoby decydujące się na prawdziwy tatuaż są zwykle przekonane co do własnych upodobań, a także świadome znaczenia oraz wartości artystycznych tatuażu. Radą na pozbycie się przykrej i nieprzemyślanej pamiątki w postaci imienia dawnej „miłości” lub orła na czole, jest „cover up”. To pokrycie starego tatuażu, nowym motywem w celu całkowitego ukrycia bądź wkomponowania nowego w elementy starego.

Dla tych, którzy nie mają określonego upodobań, a koniecznie chcą mieć coś, co wygląda jak tatuaż, są malunki zrobione henną zwane niepoprawnie „tatuażem tymczasowym”. Na tak zwane „specjalne okazje” są również naklejane obrazki mające imitować prawdziwą „dziarę”. W odpowiedzi na zainteresowanie oraz potrzeby rynku, producenci stworzyli ofertę również dla najmłodszych, w postaci dodawanych do czasopism bądź do słodczy zmywalnych tatuaży-naklejek. Świadectwem tego, jak bar-



dzo zmieniło się postrzeganie zjawiska tatuażu, jest między innymi tworzenie dla niego profesjonalnego zaplecza na rynku pracy. Mam tu na myśli licznych artystów-tatuatorów zrzeszonych w specjalistycznych

studiach tatuażu artystycznego, fachowe publikacje i czasopisma, a także imprezy związane z tym zjawiskiem. Podniósł się również ogólny poziom istniejących studiów jak i technik wykonywania tatuażu, co nie oznacza że brak jest amatorów w tej branży, tatuujących w domach bez zapewnienia higieny pracy.

Zmiana obyczajowości oraz ogromny wpływ mediów a szczególnie Internetu, odegrały istotną rolę w popularyzowaniu tego zjawiska. Kultura zachodu lansując indywidualizm jednostki, wskazała tym samym na pewne korzyści, jakie wynikały z posiadania tatuażu. Chodzi tu głównie o chęć wyróżnienia się z tak zwanego „szarego tłumu”, podniesienie swej samooceny, jak również prowokację estetyczną i obyczajową. Inne korzyści, jakie mógł zaoferować tatuaż to zamanifestowanie własnych poglądów i buntu oraz możliwość określenia swojej przynależności do danej grupy społecznej bądź subkultury. Jeszcze inne, to korzyść wynikająca z tatuażu jako waloru erotycznego. Tatuaż pełniący funkcje ozdoby miejsc intymnych bądź piersi preferowany jest zazwyczaj przez kobiety, ze względu na jego ukrycie i dyskretność. Najczęściej tatuowane miejsca to ramiona, plecy (głównie łopatka) i łędźwie. Rzadziej przedramiona, dłonie, brzuch, klatka piersiowa, kark, głowa, uda, łydki i stopy. Wzorów oraz pomysłów dostarczają najczęściej katalogi znajdujące się w profesjonalnych studiach tatuażu oraz wzory zamieszczane w czasopismach o tejże tematyce. Inspiracją są też: rysunki, komiksy, kreskówki, filmy, muzyka i sztuka (w szczególności kubizm, biomechanika Hansa Rudolfa Gigera a ostatnio również twórczość Zdzisława Beksińskiego), oraz projekty własne. Popularne są znaki, symbole i przedstawienia wzięte z danej kultury, motywy plecionki celtyckiej oraz abstrakcyjne wzory zaczerpnięte z pierwotnych kultur plemiennych zwane „tribunami”, wszystkie one mają dużą wartość estetyczną. Bardzo popularne są przeróżne motywy zwierzęce i roślinne. Często pojawiają się też portrety, przedstawienia religijne oraz fragmenty tekstów, napisy, imiona lub pojedyncze słowa.

Pisząc o „dziarach” nie należy zapomnieć o największych osobach i światowej sławy artystach tatuatorów, takich jak choćby: Herbert Hoffmann tworzący klasyczny tatuaż „old school”owy” czy

mistrz pięknego, tradycyjnego japońskiego tatuażu Hori Hiro. Warto wspomnieć też o specyficznym, światłocieniowym stylu czarnobiałych tatuaży stworzonych przez Paul’a Booth’a i o jego kultowym studio o nazwie Last Rites czyli Ostatnie Obrzędy. Artysta ten zafascynowany jest przede wszystkim tym co mroczne, inspiruje go śmierć i satanizm, jak również dzieła Michała Anioła, Hansa Rudolfa Gigera oraz wystawy Gunthera von Hagensa. Jak sam powiedział w jednym z wywiadów na łamach pisma *Tatuaż. Ciało i sztuka*: „Od zawsze miałam obsesję na punkcie śmierci oraz ciemnej strony ludzkiej natury”. To, co tworzy Paul Booth nie da się określić inaczej, jak tylko mianem sztuki, jednak największym chyba artystą-tatuatorem jest Guy Aitchinson, określany jako wirtuoz tatuażu. Jego dzieła to perfekcyjne zestawienia kolorów, „szorstkiej faktury” i „szkła”. Są to zwykle formy bardzo malarskie i dynamiczne, o tematyce abstrakcyjno-organicznej. Zanim powstanie gotowy wzór i tatuaż artysta sporządza najpierw wiele szkiców, rysunków i zdjęć. Następnie pokrywa nimi rzeźbę bądź instalację specjalnie stworzoną do tego celu i podświetla obiekt wieloma rodzajami światła z różnych stron. Swoje inspiracje czerpie głównie z literatury science-fiction oraz takich artystów jak: Max Ernst, Hans Rudolf Giger czy Zdzisław Beksiński.

Świadectwem ogromnej zmiany w postrzeganiu tatuażu jako sztuki ciała jest fakt, że coraz częściej określa się go jako zjawisko normalne, zaś jego odbiór jest postrzegany najczęściej jako neutralny.

Tolerancja oraz pozytywny stosunek wobec tatuażu są jednak charakterystyczne dla ludzi młodej generacji. Mimo znaczących zmian w świadomości przedstawicieli starszego pokolenia nadal utrzymuje się stereotyp w postrzeganiu tatuażu, jako zjawiska o charakterze patologicznym. W myśl tego przekonania tatuaż był jedynie znakiem środowiska przestępczego bądź cechą ludzi z tak zwanego marginesu społecznego. O tym, jak silne są kryminalne konotacje tego zjawiska świadczy również fakt, że wielu młodych ludzi posiadających tatuaż traktuje go jako rzecz wstydlivą, ukrywaną przed rodziną, o której istnieniu wiedzą jedynie przyjaciele. Negatywny odbiór spowodowany był również brakiem świadomości, że tatuaż jest rozległym zjawiskiem kulturowym, występującym na całym świecie zarówno w chwili obecnej, jak i w ciągu całej historii ludzkości. Podobnie rzecz ma się z kolczykowaniem oraz innymi ozdobami ludzkiego ciała, które nadal są tematem tabu nie tylko w kulturze polskiej.

WYDZIARAĆ DZIARSKĄ DZIARĘ

rozmowa z Tomaszem Ficem ze studia tatuażu „Rectum” w Bytomiu



Na początek typowe pytanko, czym jest dla Ciebie tatuaż?

(śmiech) Z racji wykonywanego zawodu jest dla mnie źródłem utrzymania, choć nie od tego się zaczęło! Sam się tatuuję, więc jest to rzecz którą lubię, tatuaż zawsze mi się podobał i podoba mi się nadal. Dla mnie przede wszystkim tatuaż jest ozdobą dla niektó-



Jeśli chcesz wiedzieć coś więcej o tatuażu, zajrzyj na stronę: www.tatuaze.slask.pl

rych ludzi ma jakieś znaczenie pamiątkowe, ideologiczne, a dla mnie jest przede wszystkim ozdobą. Zarówno prowadzenie studia, jak i kolczykowanie, którym się osobiście zajmuję też nie są sprawą przypadku. Jest to realizacja celów, do których zawsze dążyłem, to połączenie pasji z planami żywotnymi.

Skąd wziął się pomysł na założenie studia tatuażu i jak w ogóle zaczęła się twoja przygoda z tatuażem?

To było tak: Wojtek po prostu wykonał jakiś tatuaż na sobie i zobaczyłem, że nawet mu się to udało. Było widać wzór. Wyszedł w zamierzony sposób! Był to bardzo prosty wzór, nieskomplikowany, ale było widać, że ma do tego smykałkę... No i powstał pomysł zainteresowania się tym głębiej. Wpadła mi w ręce pierwsza zachodnia publikacja o tatuażu, gdzie można było zobaczyć fachowe tatuaże z kolorem, ze światłocieniami, jakieś tribale, które od razu nam się wtedy spodobały...

A który to był rok?

To był dziewięćdziesiąty czwarty rok. A wcześniej jak się z tym spotkałem, to były jakieś tatuaże zrobione w więzieniu albo w wojsku. Mój ojciec miał na przykład tatuaże w wojsku robione, które zawsze mi się podobały i nadal mi się podobają.

Oprócz tego że jesteś właścicielem studia, czy sam również tatuujesz?

Nie, ja nie robię tatuaży, ja zajmuję się kolczykowaniem i różnymi innymi sprawami związanymi z prowadzeniem studia.

Wnętrze twojego studia posiada dość specyficzny klimat i wystrój, czy było coś, co Cię do tego zainspirowało? Wzorowałeś się jakąś konkretną estetyką? Byłam w kilku studiach i muszę przyznać że klimat tutaj nie jest przeciętny...

Mamy kilka zakładów i w zasadzie każde nasze studio wygląda inaczej i prawdę mówiąc zawsze jest, mniej lub bardziej, dziełem przypadku. Wiesz, wszystko zależy od tego w jakim stanie lokal odziedziczyliśmy, co się tam wcześniej mieściło, czy robiliśmy remont od zera... Nie jest ważny ekstrawagancki wystrój, na pierwszym miejscu zawsze jest sam gabinet, czyli taki który by spełniał wszystkie normy i w którym będzie się dobrze pracowało, jego funkcjonalność. Natomiast ta część w której jest poczekalnia może mieć jakieś walory estetyczne. W Chorzowie mamy studio które – ktoś mógłby powiedzieć – wgląda jak gabinet dentystryczny... Na przykład w tym lokalu w Bytomiu była kiedyś knajpa i większa część znajdujących się tu rzeczy jest po prostu pozostałością po pubie. Stanowisko obsługi klienta jest ewidentnie z knajpy zaadaptowane...

A ta rzeźba w postaci rogatej głowy nad barem miała coś znaczyć?

Głowa też jest pozostałością po knajpie. Uważam, że to nie jest dobrze zrealizowany projekt, ale pomysł był taki, że to miało sprawiać wrażenie trofeum łowieckiego z polowań międzygalaktycznych. To miała być głowa jakiegoś obcego, jakiegoś stworu upolowanego z innej planety i zawieszonego nad barem jako trofeum. Wystrój tej knajpy projektowany był przez naszego kumpla – „Komandosa”, a inspiracją do tego była między innymi scenografia z filmu „Brasil”.

OK. Możesz coś powiedzieć o uczestnictwie studia w konwencjach, o nagrodach i wyróżnieniach jakie udało się wam zdobyć?

Nie uczestniczymy zbyt często w takich imprezach, bardziej skupiamy się na pracy w studiu. Każdy ma swój styl pracy. Są ludzie którzy więcej bywają na wyjazdach niż na miejscu. My raczej koncentrujemy się na studiu. Wiadomo, wyjazd wiąże się z tym, że cierpi na tym praca w studiu.

A
R
T
K
O
K
T
A
I
L

Nr 1 / 2007
Str. 29 / 46





Parę razy uczestniczyliśmy, dwie nagrody udało nam się zdobyć w konwencjach które odbyły się w okolicy.

Gdzie dokładnie?

W Katowicach i Rudzie Śląskiej.

A wyjazdy za granicę? Wyjeżdżaliście gdzieś?

Za granicę nigdy nie wybraliśmy się na żadne konwencje. Taki wyjazd oznacza tygodniową nieobecność w studiu, nie ciągnie nas to aż tak bardzo.

Te dwie nagrody dostaliście w jakiej kategorii?

Dostaliśmy trzecie miejsce za najlepszy tribal a na konwencji w Rudzie otrzymaliśmy drugie miejsce za reprodukcję rysunku Wiktora Zinna, który przedstawiał wiejską chatę z przydrożnym krzyżem.

Jak wyglądają konwencje w Polsce? Jak te organizowane na Zachodzie? Jak to wygląda i jakie są między nimi różnice?

Ostatnio nasza koleżanka była na dość dużej konwencji w Anglii. Podstawowe różnice to chyba to, że tam na konwencje przychodzą ludzie z ulicy i się tatuują. U nas najczęściej tylko oglądają albo tatuujesz jakiegoś modela który przyjeżdża z tobą. Uważam, że w Polsce konwencje powinny się koncentrować nie na robieniu imprezy branżowej, zamkniętej, tylko dla ludzi ze środowiska, ale na takiej, która by popularyzowała tatuaż. U nas mimo wszystko uważam że fanów jest za mało, w dalszym ciągu jest za dużo ludzi którzy mają coś przeciwko tatuażowi. Powinna być to impreza tak zrobiona, tak zareklamowana i tak dostępna, żeby mógł na nią przyjść każdy. Przyjść i zobaczyć, że tatuaż to jest coś fajnego, że można coś ładnego sobie zrobić, że to może być zrobione higienicznie, że to nie jest syf i że nie ma w tym zagrożenia. Jak ludzie mają się do tego przekonać skoro nikt ich nie edukuje? A kto ich ma edukować jak nie my? Uważam że taka impreza jest najlepszym miejscem i najlepszym sposobem na wypromowanie tatuażu, żeby przestał mieć wrogów. Nie chodzi o to że wszyscy mają się zaraz tatuować, ale żeby przestał być postrzegany jako coś złego. Nie wszyscy muszą mieć tatuaż, ale niech ci, którzy nie chcą się tatuować nie mają nic do tych którzy są wytatuowani. A co do frekwencji, to widać że na zachodzie jest dużo fanów tatuażu. Na konwencje zachodnie przychodzi dużo ludzi jako widzów, dużo przychodzi klientów, żeby się wytatuować no i to się kręci. Wszędzie są tacy którzy będą wroga-

mi tatuażu, ale na pewno można zrobić coś żeby normalniej się do tego odnosili.

Jak ocenilibyś polską „scenę tatuażu”?

Jeśli chodzi o robotę, o to co ludzie robią, jakie mają pomysły i umiejętności, to jest rzecz która się prężnie rozwija, poziom jest światowy. Są tacy, którzy jeżdżą na konwencje i są znani na świecie. Widząc prace można powiedzieć, że ludzie w Polsce robią świetne tatuaże. Powstaje więcej studiów, więcej ludzi się tatuuje, pojawia się nowe spojrzenia i są nowe pomysły. Zmieniło się podejście klientów jeśli chodzi o wielkość robionych tatuaży, są większe a tym samym bardziej eksponowane. W takim tatuażu można uzyskać efekt artystyczny, no bo sory ale w tatuażu wielkości pięciocentówki nie możesz za bardzo poszaleć.

Co sądzisz o studiach powstających przy salonach kosmetycznych czy solariach?

Uważam, że to nie ma większego znaczenia gdzie studio powstało, jeśli spełnia wszystkie wymagania które musi spełniać. Problemem jest, kiedy robi to człowiek zupełnie bez przygotowania. Jeśli w gabinecie kosmetycznym pracuje ktoś, kto zajmuje się tylko tatuowaniem, ma odpowiednią wiedzę i doświadczenie, to nie widzę problemu. Natomiast jeśli tatuaże będzie robiła pani kosmetyczka w przerwie pomiędzy manicure, masażem a masażem, no to sory... Z całym szacunkiem dla pań kosmetyczek, ale jak robi jeden tatuaż na miesiąc, nigdy nie będzie fachowcem w dziedzinie tatuażu. Po prostu, jeśli ktoś będzie się specjalizował w tatuażu to ok., ale jak ktoś robi tatuaż, jako jedno z dziesięciu zajęć, to nigdy nie będzie specjalistą.

Jacy ludzie najczęściej przychodzą do twojego studia i jakie wzory tatuaży najchętniej wybierają?

Nie prowadzę takiego rankingu, najczęściej to chyba będą klienci między 25 a 35 rokiem życia, wiadomo są wyjątki, ale najczęściej w tym przedziale wiekowym.

A jak to się przekłada na pleć?

Przychodzą zarówno mężczyźni jak i kobiety. A wzory? Hmm... Wiesz często jest tak, że klient się nas pyta: „co teraz jest na topie i co by sobie warto było zrobić?” To jest dla mnie sygnał, że bym takiego człowieka właśnie odwiódł od robienia tatuażu. On nie ma sobie robić tego co jest na topie tylko coś, co mu się będzie podobało do końca życia! Katalogów ze wzorami jest mnóstwo, ale niekoniecznie musi to być wzór z katalogu. Możemy na przykład zaprojektować dla klienta coś

WYDZIARAĆ DZIARSKĄ DZIARĘ – cd

extra na zamówienie. To właśnie w tatuażu jest fajne że możesz mieć coś czego nie ma nikt, coś oryginalnego i niepowtarzalnego.

Studio oferuje również kolczykowanie. Twoi klienci częściej przychodzą się tatuować czy kolczykować? Jak to wygląda?

Są klienci którzy robią sobie tylko tatuaże i tacy, których interesuje tylko kolczykowanie. A są też tacy, którzy się zarówno tatuują jak i kolczykują. Kolczykowanie zdobyło moim zdaniem popularność głównie dlatego, że nie jest trwałe. W wielu przypadkach przyciąga ludzi, którzy nie chcą sobie robić czegoś na zawsze, mogą z tego zrezygnować. Część klientów na pewno ma takie podejście.

Istnieje sieć studiów tatuażu „Rectum”. czy zamierzasz powiększyć istniejącą sieć o kolejne miasta Polski?

Wiesz to nie jest tak, że ja mam jakąś strategię dla Polski, po prostu dużo z tego działa się zupełnie przypadkiem. Rozwój i rozrośnięcie się na te kilka miast to był przypadek. Na przykład był ktoś, z kim dobrze mi się pracowało no i powstał pomysł żeby utworzyć kolejne studio. Liczba studiów się zmienia, czasami jedno studio powstaje a inne kończy działalność, nie planujemy jakiegś ekspansji...

OK, a są jacyś artyści plastycy, których twórczość jest Ci szczególnie bliska?

Powiem ci, że ogólnie interesuję się szeroko pojętą sztuką, cenię twórczość różnych artystów. Bardzo lubię prace Gigera, choć niekoniecznie podobają mi się przeniesione wprost na skórę. Jestem też fanem komiksu, szczególnie lubię prace Janusza Christe. Wszystkie komiksy z Kajko i Kokoszem są rewelacyjne zarówno w sferze rysunkowej jak i scenariuszowej. W domu mam dwa obrazy świetnego bytomskiego artysty Grzegorza Domhera. Cenię również styl rysowania Jerzego Ozgi, co zaowocowało współpracą z tym artystą. Jurek rysuje projekty wedle życzenia i pomysłu naszych klientów. My przenosimy je na skórę.

Prace jakich artystów tatuatorów podziwiasz najbardziej?

Jest dużo prac które cenię, ale na dzień dzisiejszy będą to na pewno biomechaniki Guy’a Aitchinson’a. To jest prawdziwy artysta. Staram się nie nadużywać słowa tatuaż artystyczny, ponieważ większość tatuaży robionych w studiach to są po prostu prace wtórne, kopiowane. A twórczość

Guy’a Aitchinson’a jest ewidentnie sztuką która powala. Efekty które on uzyskuje są rewelacyjne, to jest klasa.

Masz jakieś tatuaże?

Tak. Mam tatuaże. Mówilem że to lubię. To nie jest tak, że otworzyłem studio tatuaży bo są one drogie i można na nich dużo zarobić...

A kiedy zrobiliś swój pierwszy tatuaż?

W czwartej klasie podstawówki.

O kurcze! Kończąc chciałam zapytać czy jest jeszcze coś, o co Cię nie zapytałam, a co chciałbyś powiedzieć?

Nie zapytałaś ile kosztuje najtańszy tatuaż? hahahaha... To jest nasze ulubione pytanie, które nam zadają czasem klienci hehehe...

...macie jakieś promocje?

Nie no, ale jeśli mówimy o poważnych sprawach, to nie przychodzi mi nic do głowy o co jeszcze mogłabyś mnie zapytać. Dodam tylko taką radę dla ludzi, którzy myślą o zrobieniu sobie tatuażu. Tatuuj się tylko w oficjalnie istniejących studiach, nigdy u kolegi w domu! Pamiętaj że ktoś, kto robi tatuaże w domu na pewno nie ma odpowiedniego sprzętu do sterylizacji i może zarazić cię wirusem HIV lub żółtaczką. Tylko zabieg wykonany w profesjonalnym studiu tatuażu jest dla ciebie bezpieczny. To tyle...

W takim razie dzięki za wywiad.

Rozmawiała: **Malgorzata Stępień**



Rys. Marcin Malicki



Ilona Kula

PRZYSTOLE

Ojciec, syn, matka

Pokój, na środku kanapa, ława, fotele. Na ławie goła choinka.

Ojciec rozłożony na kanapie drapie się po głowie, coś wyjmując spod włosów, ogląda, matka na fotelu obcina paznokcie u stóp. Syn siedzi na skraju ławy, wzrok wbity w publiczność.

Matka: *(nie patrząc na syna)* I co? Zerwałeś a nią? Jak jej tam było... *(bierze nożyczki do ust)* Jak jej tam było... *(oblizuje nożyczki, gryzie aż łamie ząb)*

Aha, Wiktoria! *(wyjmuje ząb, kładzie na ławie)*

Syn: *(po dłuższej chwili, ujmując ząb w palce)* Oho ząb *(pstryka nim w ojca)*

Ojciec: *(sennie)* Odpowiadaj jak matka pyta *(ziewnięcie)*, bo kluczyki zabiorę *(odwraca się plecami, zasypia)*

M: Synku, mówże, matce rodzonej nie odpowiesz? Mów, bo zaraz idę.

S: Dokąd?

M: *(ziewając)* W ważne miejsce.

S: *(drapiąc się w kostkę)* Najważniejsze to mieć cel. I dążyć. Pomimo wszystko dążyć.

M: Idę *(wstaje)*

S: Mogę odpowiedzieć na Twoje pytanie. Jesteś tu jeszcze? Duchem? Ciągłe pośpiech, ciągłe postępek. Do przodu. Jesteś tu jeszcze?

M: *(rozmarzona)* To zależy.

S: Mów do mnie.

M: Jestem, jestem. Tylko tak jakoś bez nożyczek. Podaj nożyczki i słucham.

S: *(bierze nożyczki z fotela)* Łap! *(rzuca w inną stronę)*

M: *(wstydliwie)* Mam. No więc słucham.

S: *(patrząc na zegarek)* A o co mama zapytuje?

O: *(wyrwany ze snu)* Co się tu dzieje? Co wy tu beze mnie poruszacie? Człowiek się zdrzemnie na chwilę i w mig ruszają sekrety, tajemnice. A może sekty?

I wszystko beze mnie! *(oddalając się)* Beze mnie! *(znika)*

S: *(patrząc tępo w publiczność)* Gdzie poszedł?

M: Tato tęskni.

S: Ale czy nie za bardzo? *(spogląda podejrzliwie na matkę)*

M: To nie moja wina! Każdy w coś się angażuje.

S: *(z ożywieniem)* Każdy ma do tego prawo! *(podskakuje na jednej nodze)*

M: *(podchodząc do syna)* No czemu skaczesz? Mogę Ci jakoś pomóc? *(gładzi go po ramieniu)* Ooo, biedaku... Powiedz jak, a Ci pomogę. I ojciec Ci pomoże. Nie bierz mu za złe, że taki... Wszędobylski. Pokazać Ci jak się nie skacze?

S: Nie skaczę! *(zastyga)*

M: Całe szczęście. Więc co z Wiktoria?

S: Odeszła.

M: Umarła?

S: Owszem.

M: A nożyczki? *(rozgląda się)*

S: Zabiłem ją. Nożyczkami.

M: Moimi?

S: Weź się w garść.

M: Zgubiłam nożyczki.

S: Są w Twojej dłoni.

M: (zawstydzona) Zapomniałam.

S: Wstań. Natychmiast. (*pada przed postawioną matką na kolana*) Zabiłem ją i okazało się, że nadal jestem. Zanim podniosłem na nią rękę i opuściłem myślałem, zaraz zniknę, przypadnę jak ona. Życie miałem za wielką wartość.

M: Życie... Wartość...

O: (*wpada na scenę, mina próbującego ukryć przerażenie*) Baśka!

Nasz wychowany syn zabił.

M: Zgadza się Janku... Ale nie należy zapominać kim ona była. Nikim. Sprzątaczką. Powiemy, że wypadek. Jeśli zbrodnia zostanie udowodniona. Jeśli nie zostanie w ogóle wykryta, zapomnimy o niej bezsumiennie. A jeżeli zostanie wykryta, ale nie udowodniona, wyjdziemy na zero.

O: Co my byśmy biedni robili bez tej telewizji! (*ściskają się wszyscy*)

S: (*wyskakując z uścisku*) Skoro wszystko już się wyjaśniło muszę wam coś powiedzieć. Zamierzam porzucić ten pokój i zająć się fotografią. Od wielu lat marzę o aparacie, przestrzeni, własnych wystawach... Przy tym nie uważam, że kiepskie życie to wasze życie, gdyby tak było... Ach co ja gadam. Nerwy. Chodziło mi...

M: Jednak zabiłeś. Jak mogłeś?

O: Z pewnością poniesie konsekwencje.

(*syn ucieka*)

M: Trzeba powiadomić policję. Przecież doszło do przestępstwa.



O: Trzeba to przemyśleć. Co robią w takich chwilach na ekranie?

M: W filmach sensacyjnych...

O: Głupia jesteś? W dramatach!

Rys. Czesław Gałuszny

M: W dramatach płaczą.

O: Bandyci?

M: I wielu innych.

O: Jesteśmy okropni.

M: A ty łysy.

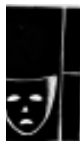
O: O nie!

M: O tak!

O: Nie!

M: Tak!

(*w nieskończoność*)



D

E

S

K

I

Nr 1 / 2007
Str. 33 / 46





Matylda Sęk

TAM GDZIE PANUJE CIEMNOŚĆ ZAWSZE PANUJE STRACH

*Zwracam się w dół
Ku świętej, niewysławionej,
Tajemniczej nocy*

Hymn do nocy

Novalis alias Friedrich von Hardenberg
(1772-1801)

Tam gdzie panuje ciemność zawsze panuje strach. Dlatego tak lubimy oglądać horrory w ciemnym kinie, w pokoju przy zgaszonym świetle. Mrok wyciąga z nas to, co skrywamy głęboko, nocą nasze lęki nabierają barw. Oswojone w dzień, przybłakłe w świetle dziennym po zmroku zaczynają żyć. Nie są już oswojonymi historyjkami, stają się obce, nieznane i niebezpieczne. To, co znane, widoczne, jest bezpieczne, w mroku nie widzimy, świat staje się obcy i drapieżny. Na tej podstawowej opozycji, swój – obcy, Jaime Balaguero opiera swój film *Darkness*.

Skotofobia to nieuzasadniony lek przed ciemnością. Najczęściej ciemności boją się dzieci. Do takich irracjonalnych lęków dojrzały ludzie zwykle się nie przyznają. Jednak lęk przed tym, co kryje mrok jest podstawową obawą każdego człowieka. Wzrok to podstawowy zmysł, dzięki któremu percypujemy świat. Kiedy zostaje nam odebrana zdolność widzenia wpadamy w panikę. Takie słowa jak *cień, mrok, ciemność* wywołują w nas dreszcze przerażenia. Balaguero wykorzystał ten pierwotny lęk jako podstawę w realizacji swego filmu. *Darkness* nie wywołuje w nas emocji za pomocą tanich chwytów z horrorów klasy B. Nie pokazują nam się właściwie żadne potwory, czy zmasakrowane zwłoki. Nie to ma nas przerażać. Strach w nas wywołuje ciemność. „*Ciemność jest tutaj inna.*” – mówi Paul, mały chłopiec, któremu mrok pod łóżkiem „*pożera kredki*”.

Wiara w możliwość zdobycia nadnaturalnych uzdolnień psychicznych, a także kontaktu z demonami i duchami zmarłych utrzymuje się od wieków wśród wyznawców okultyzmu i spirytyzmu. Tajemnicze sekty, tajne zgrupowania zawsze budzą w nas grozę. Zagrożają naszemu poczuciu bezpieczeństwa w chrześcijańskim świecie. Jeśli nie jesteśmy w stanie przeniknąć ich zamiarów zaczynamy się ich bać. Obawę przed „nieoswojonym” światem sekt wykorzy-

stał reżyser. Nie dość, że główni bohaterowie są w obcym kraju, mieszkają na uboczu, w nowym, obcym, mrocznym domu, to okazuje się, że był on kiedyś miejscem morderstwa, tajemniczego kultu i zbudowany jest na planie świątyni. Pod podłogą opętany chorobą ojciec odnajduje tajem-



Rys. Marcin Malicki

niczy wzór w kształcie smoka Uroborosa. Po-tem okazuje się, że jest to ofiarny ołtarz. Uroboros, smok połykający swój własny ogon, w mitologii symbolizuje wieczny powrót; przypomina, że początek jest końcem, a koniec początkiem. Smok ten jest symbolem zarówno dobra jak i zła.

Jest jednym z symboli, które często pojawiają się w zakonach kierujących się ścieżką lewej ręki. Zakon Dragon Rouge, którego metodą jest właśnie magia ciemności uznaje, że *Poprzez powrót do nocy i chaosu odnajdujemy źródło naszego odrodzenia i samo-tworzenia*. Co ciekawe, prócz kultu mroku i symbolu Uroborosa, sektę tą łączy z filmem jeszcze jedna rzecz, a mianowicie liczba siedem. W podstawach drakońskich czytamy:

Smok jest siłą, a jego siedem głów, symbolizuje siedem promieni.

Egzotyka symboli, nawiązanie do kabalistyki i magii liczb, nie tyle właśnie to nas przeraża, ile wniesienie tego do domu. Dom, który wydaje się nam być zawsze miejscem bezpiecznym, rodzina, w której mamy oparcie – tutaj to znika – mieszkanie staje się pułapką, centrum wszelkiego zła, a więzy rodzinne nie istnieją.

Naturalny lęk przed ciemnością, wizja zagrożenia we własnym domu, rozpad rodziny, niezrozumiałe symbole to tylko niektóre chwytaki, którymi operuje reżyser pozbawiając widza wszelkich złudzeń – nigdzie nie możemy czuć się bezpieczni, podstawowe wentyle bezpieczeństwa zawiodły. Jesteśmy w kinie a w tutaj panuje mrok.

Od wieków najstraszliwszym dziełem Matki Natury było zaćmienie Słońca, noc w ciągu dnia, gniew bogów. Jaume Balaguero zaćmienie czyni momentem kulminacyjnym spektaklu. Moment, w którym światło dnia traci swe prawa budzi grozę, tutaj staje się momentem, kiedy zło wygrywa. Wygrywa całkowicie. Film nie ma happy endu. Hiszpańska produkcja rezygnuje z hollywoodzkiego, szczęśliwego zakończenia. Widz wychodzi z kina ze świadomością, że dobro nie zawsze zwycięża.

Film przeraża nas nie tylko obrazami rodem wziętymi z *Lśnienia czy Innych*. Nie tylko kryjące się w mroku dzieci, mały chłopiec będący medium (jak w *Szóstym zmyśle*), tajemnicze rysunki i zdjęcia nas niepokoją. W napięciu trzymają nas zwykłe sceny, jak np. główna bohaterka pływająca w basenie, czy genialna scena krojenia ziemniaków. Nie odnajdujemy bezpieczeństwa nawet w zwykłych, codziennych czynnościach. Pojawia się obcy, który obserwuje z zewnątrz pozornie spokojny dom, drażni nas bezustanna ulewa, burze i bujające się na wietrze huśtawki w ogrodzie. Niepokoją zagadki z przeszłości. W tym świecie nie ma miejsca na bezpieczeństwo.

Zagrożenie stanowią nawet zabawki. Kiedy dzieci boją się ciemności, chowają się pod kołdrą. Niestety mały Paul nie jest w swym pokoiku sam, jest tam sześćoro innych dzieci. Dzieci mroku, które czekają aż dołączy do nich to ostatnie, dopełniające kłątwy. Koszmar wzmaga ciężka choroba ojca, który staje się agresywny i nieprzewidywalny. Czarnym charakterem i siewcą zła okazuje się dziadek. Mit rodziny upada, nie pomaga nawet trzeźwość umysłu i uczucie Reginy do ojca.

To właśnie tylko prawdziwa, czysta miłość potrzebna jest złu do przejścia władzy. Widz zostaje ogołocony nawet z najbardziej intymnych przeżyć, nie pozostaje mu nic prócz strachu. Strachu przed nocą, która prędzej czy później i tak nadejdzie. A ciemność ma swoje sposoby by zgasić światło. *Ciemność jest mądra.*

Dzieciobójstwo, ojcobójstwo, dom w lesie to „przerażaczki” należące do warstwy fabularnej. Wizualnie film jest rozegrany bardzo ciekawie. Długie, statyczne ujęcia są poprzerywane szybko zmontowanymi kadrami, których treść jest czytelna tylko przy oglądaniu klatka po klatce. Te migawki godzą w naszą podświadomość wprowadzając w pozornie, z początku obyczajowy film, krwawe, okrutne wizje. Zdjęcia zalewającej ekran krwi, sceny kręcone z ręki, drżąca kamera, nagle błyski białego światła, wyrwane z kontekstu obrazy wywołują chaos. Warstwie wizualnej towarzyszy muzyka, która doskonale doprawia klimat. Przy wstawkach migawkowych pojawia się ostry, nie miły, wibrujący dźwięk, który wręcz paraliżuje układ nerwowy. Poza tym odgłosy deszczu, burzy czy skrzypienia huśtawki nadają historii status prawdopodobieństwa.

Jaume Balaguero godzi w najbardziej wrażliwe punkty psychiki człowieka. Ogołaca widza ze wszystkich skarbów bezpieczeństwa i wrzuca go w chaos, pozostawiając go na pastwę nieświadomości i lęków. *Darkness* operuje najbardziej standardowymi środkami, jest w nim mnóstwo klisz. Ale są one umiejętnie wykorzystane.

Filmy grozy stają się ostatnio bardzo popularne. Współczesnego widza jednak coraz trudniej przerazić. Stworzenie filmu, który nie ocierałby się o plagiat bądź o kicz jest wyzwaniem. *Darkness* nie bazuje na prymitywnych chwytach, ale pobudza widza intelektualnie. Wychodząc z kina ciemność zabieramy ze sobą. To jest film z gatunku tych, po którego obejrzeniu mamy ochotę spać przy zapalonym świetle. Jednak dojrzałym ludziom nie wypada poddawać się dziecięcym fobiom. W efekcie gasimy światło z przerażeniem myśląc, co czai się w ciemnościach.

Reżyseria: Jaume Balaguero

Scenariusz: Jaume Balaguero, Fernando de Felipe

Obsada: Anna Paquin, Lena Olin, Iain Glen, Fele Martinez, Stephan Enquist, Fermi Reixach

Produkcja: USA/Hiszpania.





Łukasz Woźny

P R A W I E J A K Z I N

TRABKA
EUSTACHIUSZ

Nr 1 / 2007
Str. 36 / 46



MOONSPELL

„Memorial” Digi Pack

● *In Memoriam* ● *Finisterra* ● *Memento Mori* ● *Sons Of Earth* ● *Blood Tells* ● *Upon The Blood Of Men* ● *At The Image Of Pain* ● *Sanguine* ● *Proliferation* ● *Once it Was Ours!* ● *Mare Nostrum* ● *Luna* ● *Best Forgotten* ● *Atlantic {Bonus Track}* ●

Portugalczycy wysmażyli nowe dzieło. Wspominkowe, bo starzy już są. „Memorial” ma przywołać ducha lat '90, czyli czasy, gdy ja zaczynałem się bawić w złego metalowca. Coś tam z tych lat jest, ale ja jakoś niespecjalnie zwracałem na to uwagę. Ważne jest, że walki wpadają w ucho, Ferdynand „Mroczny” Ribeiro zamiast dawać ciała daje gardła (nawet mocno) i nauczył się nie fałszować, gdy śpiewa czystym wokalem.

Płyta cacy wydana (SPV), grafiki Wojciecha Blasiaka, muzyka to mieszanka tego co znamy z „Wolfheart”, „Irreligious”, „Darkness&Hope” (niestety) oraz „The Antidote”. Oczywiście nowe patenty też są, i w sumie to one nadają tej płycie jakiejś tożsamości. Poza mocniejszymi kawałkami („In Memoriam”, „Finisterra”, „Memento Mori”, „Blood Tells”, „Upon The Blood Of Men”, „At The Image Of Pain”, „Sanguine”, „Once it Was Ours!”, „Best Forgotten”, „Atlantic”) znalazło się także miejsce dla jakiegoś głodnego walka goth metalowego (nawet całkiem zjadliwego – „Luna”) oraz dla instrumentalnych przeszkadzaczy (reszta). Na płycie gościnnie wystąpił z popisem gościnnym obleśny i gruby Big Boss z czeskiego Root („At The Image Of Pain”) oraz znana fanom Moonspell Brigid Zacher („Luna” i czadowe „Sanguine”).

Przy grafice majstrował poza naszym rodakiem boski Kolano, czyli Adriano Esteves – mistrz spóźnionego uniku i głupich usprawiedliwień. Zapomniałbym – nieziemski operator skanera.

Płyta wyprodukowana przez kolejnego naszego ziomala – Waldemara Sorychtę. Keyboardy i sample wyszły z kolei ze Studia INFERNO, w którym nagrywano m.in. Daemonarch oraz wcześniejszy LP Moonspell, „The Antidote”.

Jak dla mnie, płyta warta kupna jeśli nie jara cię w metalu tylko Witchmaster, Azarath, Blasphemy czy inne takie Darkthrone albo Infernal War. Komercyjne, ale strawne.

MY DYING BRIDE

„A Line Of Deathless Kings”

● *To Remain Tombless* ● *L'amour Detruit* ● *I Cannot Be Loved* ● *And I Walk With Them* ● *Thy Raven Wings* ● *Love's Intolerable Pain* ● *One Of Beauty's Daughters* ● *Deeper Down* ● *The Blood, The Wine, The Roses* ●

Aaron znów jęczy. Perkusja po raz kolejny sieje zniszczenie w tempie masywnego walca. Teksty traktują o miłości i o innych takich strasznych rzeczach. Ale jest też światło nadziei – o śmierci też napisał, wiecznie smutny pieśniarz My Dying Bride – czyli nie tylko się cieszyć. Muzyka dla samobójców ciągle ma swoich ulubieńców, którzy za nic nie chcą nagrać cienkiej płyty.

„A Line Of Deathless Kings” nie wnosi nic nowego do stylu, który MDB sobie wypracowało. Po albumach takich jak świetne „The Angel And The Dark River” oraz „Like Gods Of The Sun” czy eksperymentalnym „34,788%... complete” wydali „The Light At The End Of The World”, który był tak powrotem do stylu znanego z „Turn Loose The Swans” jak i początkiem nowej epoki; nagrywają muzykę niezbyt eksperymentalną, za to na pewno godną uwagi, paru głębszych oraz melancholii. Nowy cios ze strony dołujących panów (pani też tam jest, przepraszam) trzyma się kupy, da się go słuchać, teksty ma zgrabnie napisane. Jej zawartość umieściłbym bez wahania gdzieś w drodze pomiędzy „The Dreadful Hours” a „Songs Of Darkness, Words Of Light”. Jest za razem bardziej spokojna od przedostanej płyty MDB, ale także mocniejsza od jeszcze wcześniejszej. Najlepsze kawałki na tym albumie, to według mnie „Love's Intolerable Pain” oraz „The Blood, The Wine, The Roses”. Płyta nie nudzi, nie dłuży się i można nią oczarować jakieś niewinne gotycko-metalowe dziewczę, albo panią od polskiego.

Noże w dłoń i do dzieła.



ENSLAVED

„Ruun”

● *Entroper* ● *Path To Vanir* ● *Fusion Of Sense And Earth* ● *Ruun* ● *Tides Of Chaos* ● *Essence* ● *Api-Vat* ● *Heir To The Cosmic Seed* ●

„ISA” rządzi, a ten album tego nie zmieni. Ale co z tego, skoro jak Enslaved wyda krążek, to wszyscy wokół tylko na kolana paść muszą i jęczeć o więcej. Muzyki tego zespołu nie sposób pomylić z jakąkolwiek inną, przyrównać także. Są klasą samą dla siebie i tworzą coraz to nowe dźwięki, które pozwalają mi utrzymać tezę, że Norwegia ma coś w sobie. To jest Sztuka przez duże „eSz”. Od wokalu, poprzez gitary, bass czy fizycznego, wszystko jest genialne. Do tego zespół nie bazuje na nagraniu jakiś specjalnie trudnych kawałków, takich których tylko muzycy powinni słuchać, ale wszystko to trzyma się razem dobrze, poszczególne utwory bez trudu można wyróżnić i nie zmęczyć się przy nich. Jakbym miał ciśnienie na wpasowywanie każdej recenzowanej płyty w jakąś skalę ocen, to by można było pomyśleć, że Norwegowie płacą mi coś za tą wazelinę. Ale nie, skali nie będzie, bo by mi się pewnie skończyła, gdyby się Enslaved udało wydać coś lepszego od ISA.

Płyta genialna, warta kupna, słuchania i głębszej nad nią refleksji, jakkolwiek to może debilnie zabrzmieć przy takim rodzaju muzyki.

SEPULTURA

„Dante XXI”

● *Lost (Intro)* ● *Dark Wood Of Error* ● *Convicted In Life* ● *City Of Dis* ● *False* ● *Fighting On* ● *Limbo (Intro)* ● *Ostia* ● *Buried Words* ● *Nuclear Seven* ● *Repeating The Horror* ● *Euno... (Intro)* ● *Crown And Miter* ● *Primum Mobile (Intro)* ● *Still Flame* ●

Oryginalny nie będę – Sepultura się dla mnie skończyła po odejściu Maxa. Against przesłuchałem dwa razy i stwierdziłem, że Derrick i reszta ekipy nie dadzą sobie rady z ciągnięciem tego wózka. Każda kolejna płyta mnie przekonywała, że mam rację. Ale... zawsze jest jakieś „ale”. Tym razem to „Dante XXI”. Album nie dorównuje temu, co Sepultura tworzyła do 1996 roku, ale w sumie już mi taka klasyfikacja nie potrzebna. Jest to za to jedyna płyta Sepultury z Derrickiem, której nie wstydzę się słuchać. Meisterstuck to nie jest, ale do beznadziejnego wydawnic-

two jej daleko. Co prawda nie jest to rodzaj muzyki, którą bym namiętnie się katował, ale od czasu do czasu najdzie mnie ochota na zapodanie sobie tych dźwięków. Z tą płytą mogę sobie od czasu do czasu pozwolić na muzyczny skok w bok, na szybkie przesłuchanie.

C₁₇H₁₉NO₃ „1962-2092”

● *the room of ice* ● *uberleben ich nicht* ● *harvest of souls* ● *metatron* ● *the burning of black waters* ● *a spell for breaking an opening into the sky* ● *excision* ● *deep flesh* ● *I cover the water-front* ● *my bones rise above* ● *breathe* ● *electric air* ● *broken soul* ● *untitled* ●

Płyta stara. Płyta bardzo dobra. Nigdy nie miałem okazji jej recenzować, więc tutaj to w końcu zrobię.

Co to za rodzaj muzyki, do końca nie wiem. Nazwijmy to ambient/industrial. Morfina, bo to jest wzór chemiczny na ten zabawny specyfik, to twórczym zdaniem godny uwagi. Mają niczego sobie wokalistkę, muzyka jest w porządku, dobrze wkręca, nawet na sucho – nic tylko słuchać. Najlepsze kawałki na płycie to „metatron” oraz „a spell for breaking an opening into the sky”. Album dla tych, co mają ochotę odpocząć od chłostania gitary lub szerzej otworzyć drzwi percepcji. Ogólnie, muzyka dobra nie tylko do samego słuchania, ale także jako wspomagacz przy różnego typu imprezach.

COVENANT

„Skyscraper”

● *Ritual Noise* ● *Pulse* ● *Happy Man* ● *Brave New World* ● *The Men* ● *Sweet & Salty* ● *Greater Than The Sun* ● *20 Hz* ● *Spindrift* ● *The World Is Growing Loud* ●

EBM z najwyższej półki. Bardziej męskie od VNV Nation i, według mnie, także lepsze. Na parkiecie można się dobrze spocić i wyszaleć. Od pierwszego utworu wiadomo, że imprezy będą w porządku, lampy będą błyskać po oczach, a wszystkie nastolatki w ponaciąganych swetrach z naszywkami Nirwany czy Korn pouciekają krzycząc „TEK-KNO”. Ale to techno nie jest. To Covenant. Dobre do wszystkiego, a nade wszystko do ekstatycznego tańca. Bawić się! Po to ta muzyka jest robiona.



Iwona Sylwia Sypień

D Z I E Ń

P Nieposkromione obłoki snu zaczęły krążyć nad jej głową. Nie potrafiła już nic wymyślić. Nic twórczego. Zresztą, co to miało za znaczenie? Teraz? Wolałaby już mieć raka. Zaszedł by ją, jak zwykle, od tyłu. To by było za proste.

R Na ekranie zamiast liter zobaczyła mrówki. Tysiące mrówek poruszających się jak w transie, rozłazących się na wszystkie strony. Wyteżyła całą siłę woli, aby jednak coś przeczytać. I coś do tego jeszcze dopisać. Jutro musiała oddać dyrektorce cały plan.

O Czują, jak zmęczenie pulsuje w skroniach. Ale oczy nie chciały się zamknąć. Usłyszała rozkoszne jęki z sąsiedniego pokoju, ciche, tłumione, ale i tak... – przecież wiedzieli, że będzie pracować do późna – a mimo to nie chcieli, lub nie mogli, powstrzymać się.

Z Ogarnął ją żal. Żal uparty jak osioł. Dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, był jak wulkan, który wybucha z ogromną siłą, aby unicestwić wszelkie życie. Zalać gorącą magmą, stopić wszelkie odruchy istnienia w skalę. Jeszcze raz przed oczami stanął jej biały kitel z ludzkim głosem

- A**
- nie może pani
 - nie może pani mieć
 - nie może...

Położyła się. Skuliła się w kłębek. Nie docierały do niej żadne bodźce. Wciąż zadawała to samo pytanie: Dlaczego? Dlaczego ja? Czy nie ma żadnych szans?

Następne dni popłynęły wedle schematu. Pisanie. Komputer. Awans. Tęsknota. Pragnienie.

Wyrzuciła tabletki antykoncepcyjne. Kochała się z nim, tak jak nigdy dotąd. Jeśli taki miał być jej koniec, to niech to będzie najwspanialszy koniec, jaki można sobie wyobrazić. Bo potem nastąpi NIC. Jak w cyberprzestrzeni – vacuum. Śmierć. Zero.

Nieubłaganie biegły minuty, godziny, dni. Ukończyła wreszcie tę pisaninę. Radosna twór-

czość o niczym przerobiona na rzeczywistość. Specjalnie dla dyrektorki.

W piątek miała wizytę u jeszcze innego specjalisty. Wtedy wypadał też pierwszy dzień. Pierwszy dzień zwykłego, normalnego cyklu zdrowej kobiety.

Test. Napięcie. Stres. Dwie kreski. Szok i radość. Przerazenie. Spacer po młodym brzozywym lasku. Słońce, które już było zaszło, rozbłysło w niej. Poglaskała się po brzuchu. Płaski jak zawsze... A jednak... Dokładnie wtedy, wieczorową porą, zaczął się dla niej nowy Dzień...



Rys. Czesław Gałuszny

PARADOKSY KICZU. NA PRZYKŁADZIE TWÓRCZOŚCI DUBRAVKI UGREŠIĆ



Dubravka Ugrešić zyskała szerokie uznanie krytyki i publiczności jako eseistka, felietonistka i autorka prozy, która zwięźle, przenikliwie i ironicznie tematyzuje problemy współczesności. W recepcji jej twórczości podkreśla się, że ma znakomity, erudycyjny styl, nie boi się łamać społecznych tabu, mieszać gorzkiej krytyki z nostalgiczną refleksją, zabawnymi anegdotami i ciętymi puentami. Słowo-klucz „kicz” nie pojawia się w jej twórczości zbyt często, być może dlatego, że – jak stwierdził jeden z jej literackich „mistrzów K” (obok Miroslava Krleży, Danila Kiša i György’a Konrada) Milan Kundera – „mówienie o kiczu stało się nieprzyzwoite w momencie, gdy sam świat przeobraził się w kicz”¹. Tym niemniej kicz niejedno ma imię – często zamieniany bywa synonimami (szmira), eufemizmami (Nabokov nazywał to *poszłość*) czy bardziej dosadnymi wyrażeniami (śmieci, gówno). Poetyka książek autorki i wypowiedzi w nich zawarte pozwalają na zrekonstruowanie czterech, mam wrażenie, najważniejszych i symptomatycznych współczesnych przejawów kiczu.

„Miejsce literatury coraz częściej zajmują książki”²

Pierwsza definicja kiczu związana jest z bezpośrednio z etymologią słowa i jego pejoratywnym zabarwieniem: „lichota, tandeta”, a w interesującym nas kontekście – „bezwartościowy utwór literacki”³. W zbiorze esejów *Czytanie wzbronione* Ugrešić z nieukrywaną niechęcią pisze o różnych aspektach komercjalizacji branży literackiej, która powoduje przedkładanie względów ekonomicznych nad estetyczne: „To, co się sprzedaje, jest dobre, to, co się nie sprzedaje – złe”⁴. Takie podejście sprawia, że „współczesne środowisko literackie nie dzieli się na dobrych i złych pisarzy, a jedynie na pisarzy będących nośnikami referencji i anonimów”⁵. Wskazuje tu na olbrzymią rolę mediów, specjalistów od marketingu, pu-

blic relations w kreowaniu artystycznego wizerunku twórców i ich dzieł. Promocja pisarzy opiera się przede wszystkim na eksponowaniu pozaliterackich czynników np.: życia prywatnego autora, rozentuzjaczowanych „recenzji” promotorów – gwiazd popkultury – często niezwiązanych z branżą literacką. Ugrešić szczególnie niepokoi ten proces „produkcji” bestsellerów, który w żadnym wypadku nie może być utożsamiany z tworzeniem literatury. Rozpoznanie ponowoczesnego rynku wydawniczego jako branży nastawionej na masowego konsumenta wydaje się jak najbardziej zasadne. Należy jednak zaznaczyć, iż autorka ma skłonność do efektownego wyolbrzymiania problemów, np.: gdy złowieszco zapowiada niedaleką przyszłość: „nikt bowiem nie będzie już wiedział, co to jest »prawdziwa literatura«”⁶. Czy dziś ktokolwiek poważny odważyłby się to jednoznacznie określić?

„Kiedy pojmujemy, że kicz jest kłamstwem, przestaje on być kiczem”

Poza tym sama Ugrešić może być przykładem łączenia komercyjnego sukcesu (8 pozycji przetłuszczonych na język polski) z uznaniem krytyków (m. in. europejską nagrodą za esej Charles Veillon). Tak więc wykorzystywanie strategii promocyjnych nie musi oznaczać artystycznej kapitulacji. Co więcej także książki Ugrešić korzystają z wyśmiewanych przez nią strategii marketingowych takich jak zdjęcie autorki i *blurb* czyli „krótka reklamowa informacja”⁷ na obwolucie książki czy też dodanie opinii „nośnika literackich referencji” (chorwacki wydawca *Kultury kłamstwa* zamieścił opinię Adama Michnika – autorytetu, choć niekoniecznie literackiego). Warto odnotować także inny paradoks: Ugrešić narzeka, iż „granice między literaturą wysoką i popularną, czy wręcz bulwarową, nie tylko zbladły, ale też wielu ludzi nie rozumie już znaczenia tych staromodnych terminów”⁸. Ale przecież także Dubravka przyczyniła się do takiego stanu rzeczy! W latach osiemdziesiątych pisała bowiem lekką, postmodernistyczną prozę zabawiając się stylami, konwencjami i bohaterami trywialnej prozy kryminalnej czy romansów. *Stefcia Ćwiek w szponach życia*⁹ czyli literacki kolaż

¹ Cytuję za: D. Ugrešić: *Czytanie wzbronione*. Przel. D. J. Ćirić. Izabelin 2004, s. 171.

² Śródtytuł jest cytatem z książki: D. Ugrešić: *Czytanie wzbronione*. Przel. D. J. Ćirić. Izabelin 2004, s. 218. Pozostałe śródtytuły zaczerpnięte z: M. Kundera: *Nieznosna lekkość bytu*. Przel. A. Holland. Warszawa 1992, s. 188-193.

³ W. Kopaliński: *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*. Warszawa 1971.

⁴ D. Ugrešić: *Czytanie wzbronione*. Przel. D. J. Ćirić. Izabelin 2004, s. 62.

⁵ Tamże, s. 59.

⁶ Tamże, s. 216.

⁷ Tamże, s. 7.

⁸ Tamże, s. 218.

⁹ D. Ugrešić: *Stefcia Ćwiek w szponach życia*. Przel. D. J. Ćirić. Wołowiec 2002.



gatunków „uszyty” na podstawie kanonicznego repertuaru romansowego – od *Kopciuszka* do *Pani Bovary* – chorwacki literaturoznawca Slobodan Prosperov Novak¹⁰ określa mianem afirmacji tego wszystkiego,

co w tym czasie określano mianem *campu* lub w europejskiej terminologii – kiczu. Od razu należy wyjaśnić: nie jest to zarzut! Wprowadzony od autor-ski komentarz wskazuje bowiem na świadome i prześmiewcze wykorzystywanie elementów kiczu w utworze. Autorka wpisuje się więc w jedną z charakterystycznych współczesnych strategii artystycznych – łączenie w całość zróżnicowanych stylistyk i strategii opowieści, na co zwraca uwagę także podtytuł książki – *patchwork story*.

„Kicz jest estetycznym ideałem wszystkich polityków”

Przytoczone przykłady pokazują, iż kicz jako cecha poetyki może być różnie wartościowany w zależności od sfunkcjonalizowania go w dziele literackim. Ale podobne ambiwalencje wywołuje tandeta także jako doświadczenie pozaliterackiej rzeczywistości. Ugreścić, która reprezentuje dyskurs krytyczny w literaturze dostrzega ją w wielu obszarach codzienności, ciągle na nowo odkrywa jej różnorodne oblicza. I tak w zbiorze *Kultura kłamstwa. Eseje antypolityczne* w mistrzowski sposób rozprawia się z polityką „Wielkich Manipulatorów”, „transformersów”, którzy w początkach lat dziewięćdziesiątych „zdemontowali stary system i zbudowali nowy z tych samych elementów!”¹¹. Niezwykle szczegółowo punktuje wspólne elementy propagandy komunistycznej Jugosławii i nacjonalistycznej Chorwacji, porównuje farsowość monumentalnych uroczystości państwowych, atakuje patetyczne dogmaty ideologiczne, rozprawia się z narodowymi stereotypami, symbolicznymi wizerunkami ojców narodu... Ugreścić przekonuje, iż kicz państwowy opiera się na stałym repertuarze manipulacji językiem, symbolami, a każdy system używa jedynie różnych rekwizytów, ale w tych samych celach – zyskania i utrzymania władzy. I tu natrafiamy na kolejną ambiwalencję kiczu, gdyż autorka tak śmiała de(kon)strukcji populistycznego dyskursu wspominając „wczesnosocjalistyczną jugosłowiańską przeszłość” odczuwa jednocześnie „ukłucie w sercu, niejasne uczucie, którego źródła i rodzaju nie umiałabym w danej chwili określić”¹².

¹⁰ S. P. Novak: *Povijest hrvatske knji•evnosti Suvremena knji•evna Republika. Svezak IV. Split 2004*, s. 107.

¹¹ D. Ugreścić: *Kultura kłamstwa*. Przel. D. J. Ćirlić. Wołowiec 2006, s. 67.

¹² Tamże, s. 343.

”W krainie kiczu panuje dyktatura serca”

„A jednak, jest chyba coś w samej naturze „śmiecia”, co sprawia, że jest taki koooooocooocachny.”¹³ W książce *Ministerstwo Bólu* mówiącej o losach bałkańskich emigrantów w Holandii to uczucie tęsknoty i sentymentu do kiczu, który bywa substytutem lepszego świata przybiera dwa oblicza. Pierwsze, nakierowane na przeszłość, przejawia się żalem za utraconą ojczyzną, terapeutycznym gromadzeniem wspomnień z życia w czasach spokoju, „bractwa i jedności” dawnej Jugosławii. Ta idylliczna wizja komunistycznej wspólnoty jest jednak bardzo krucha, gdyż do „jugonostalgicznych eksponatów” należy nie tylko słynna titowska sztafety, gastronomiczne specjały: *burek*, *baklava* czy pierwszy rower pony, ale także np.: Omarska – obóz, „w którym Serbowie więzili i torturowali muzułmanów”¹⁴. Tak więc traumatyczne przeżycia związane z rozpadem państwa odmieniły bohaterów, ich sposób myślenia, odczuwania. Niemożność znalezienia ukojenia w przeszłości, wyzwoliła w jednej z bohaterek pragnienie ucieczki od rzeczywistości w utopię „opery mydlanej”: „Nie mogę, na przykład, oderwać się od starych filmów, w których zwycięża sprawiedliwość. (...) Lubię romantyzm sprawiedliwości, odwagi, szczerości i dobroci.”¹⁵ Te reakcje dowodzą, iż – jak twierdził Danilo Kiš – „banał jest niezniszczalny jak butelka z plastiku”¹⁶. Powodem tej odporności jest po prostu ludzkie zapotrzebowanie na kicz, które to napędza m.in. komercyjny rynek literacki czy polityczną machinę propagandy. Rzadko odwrotnie.

Ponowoczesna perspektywa Dubravki Ugreścić pozwala odkrywać wiele aspektów kiczu obecnych w naszej rzeczywistości. Kilka paradoksów tego zjawiska starałem się zaprezentować w ramach tego tekstu. Na zakończenie jeszcze jeden cytat, który nie ma być morałem, a raczej niepokojącą puentą, zmuszającą do dalszych refleksji: „Shit jest dostępny dla wszystkich, shit jest tym, co nas zespala (...). I kto by go, w takiej sytuacji, nie kochał! A tylko miłość jest tym magicznym zaklęciem, która każde gówno może zamienić w złoto”¹⁷.

¹³ D. Ugreścić: *Czytanie wzbronione*. Przel. D. J. Ćirlić. Izabelin 2004, s. 89.

¹⁴ Zob. D. Ugreścić: *Ministerstwo Bólu*. Przel. D. J. Ćirlić. Izabelin-Wołowiec 2006, s. 56 wraz z przypisem tłumaczk.

¹⁵ Tamże, s. 31.

¹⁶ D. Kiš: *Życie, literatura*. Przel. D. Ćirlić-Strazińska. Izabelin 1999, s. 46.

¹⁷ D. Ugreścić: *Czytanie wzbronione*. Przel. D. J. Ćirlić. Izabelin 2004, s. 89.



Kino Bollywood. Zjawisko w Polsce stosunkowo młode. Po części niezrozumiałe, ale też kultowe. Kultowe, bo podstawowym, jego atutem jest publiczność, która pochłania je całe, bez zastrzeżeń. Pisząc o tym specyficznym gatunku filmowym można rozważać jego tożsamość, historię, estetykę, ale byłyby one niczym bez widza. Dlatego pisząc o Bollywood należy pisać o rozrywce jaką daje ono widzowi, nieskrępowaną niczym, kiczowatą, ale za to słodką jak mleko z miodem, czystą jak źródłana woda i błyszczącą jak diament. Kino Bollywood posiada cechy, które dają mu siłę, a co ciekawe jednocześnie są jego słabościami, które nieskrępowanie wykorzystują zagorzali przeciwnicy tego gatunku, sami siebie nazywający wytrawnymi widzami kina artystycznego i ambitnego¹. Bo przecież to co kiczowate, a Bollywood – nie ukrywajmy – jest kiczem, jest wstydlive.

Zacznijmy jednak od początku. Podstawowym błędem, jaki popełniają widzowie kinowi jest traktowanie kina Bollywood z powagą i przesadną naukowością. Uznając kino Bollywood za kicz, w żadnym wypadku nie należy go lekceważyć, jest to gatunek, który rządzi się swoimi prawami. Nie zapominajmy, że to przede wszystkim radosny optymizm, uproszczony obraz świata, stereotypy, egzaltacja, miłość, kobiety i śpiew. Nie wstydzimy się, że tak naprawdę po prostu dobrze się bawimy. Kino jest rozrywką i ma spełniać takie właśnie zadanie. Czy może być coś bardziej przyjemnego, niż odbieranie dzieła monumentalnego, z niepowtarzalną ilością aktorów, strojów czy przepychem wewnątrz? Piękne kobiety, przystojni mężczyźni, bogactwo, przepych na miarę świątyni. Słowem kicz. Słodki, niczym nie zmaczony, tworzący wspaniały spektakl, który przetrasta i przewyższa życie. Błędem jest sądzenie, że widz oglądając filmy Bollywood zastanawia się jakże skończy się historia kochanków, którzy pochodzą z różnych światów zostali połączeni przez los siłą miłości. Odbiór tego gatunku nie odbywa się na poziomie fabuły. Jest to kulturowo niemożliwe. Wielu widzów twierdzi, że jeden film Bollywood w życiu wystarczy. Poniekąd jest to prawda, gdyż fabuła opiera się na schemacie, jak każdy czysty gatunek. Bol-

lywood dodatkowo operuje wieloma stereotypami i schematami fabularnymi, a każdy wie, jak skończy się film. Trudno zatem nie uznać kina Bollywood za kicz. Próby wywindowania tego gatunku ponad jego aspiracje byłyby błędne i bezcelowe. Jednak wszystkie elementy tego kina sprawiają, że stało się ono szybko kultowe, bo publika często nie może powstrzymać się od reakcji głośniejszej, spontanicznej, a przecież właśnie odbiór stanowi o kultowości.

Fabula. Schematyczna, jednostajna, przewidywalna. Jednak czy nie jest tak, że James Bond, też nas niczym nie zaskakuje? Skoro przymykamy oko na to, że agent 007 uruchamia samolot, zdąży z niego wysiąść, samolot spada w przepaść, agent w tym czasie zabija kilku drani, po czym skacze za samolotem, udaje mu się dogonić ów pojazd, wsiada do niego i jest jeszcze w stanie poderwać go do lotu, to jak możemy być obojętni kiedy boski Shah Rukh Khan (znany szerszej publiczności z filmu *Czasem słońce, czasem deszcz*, gdzie zagrał głównego bohatera Rahula) na dziecięcym rowerku dogania łobuzów uciekających samochodem terenowym. Rowerek też lata.

Oczywiście naiwnym byłoby wierzyć, że obydwa wyczyny są możliwe, ale przecież na tym polega urok opowiadanych bajek. Dlaczego oburzać się na historię przedstawioną w *Czasem słońce, czasem deszcz*, skoro jest ona bardzo podobna do historii Romea i Julii, tylko, z tą tylko różnicą, że tym drugim się nie udało. Prosta fabuła, wręcz banalna, wcale nie jest słabym punktem filmów Bollywood, wprost przeciwnie, to ona stanowi o kultowości i polu działania tego zjawiska. Wszystko jest przewidywalne, więc drobna zmiana, obezwładnia widza (zaskakujące zakończenie w *Fanaa*), a nie wierzę żeby reżyserzy filmowi o tym nie marzyli. Przewidywalna fabuła, schematy i konwencja są znane widzom całego świata odkąd powstała sztuka, tak można podsumować klasykę gatunku, jakiegokolwiek. W tym momencie wydaje mi się niestosowne ośmieszanie zamysłonego kiczu, nie wierzę, że reżyserzy nie są świadomi filmów, które tworzą, bo inaczej nie różniłyby się one między sobą całkowicie. A przecież się różnią. Kiedy, gdzie, jak? Tym, co jest najważniejsze w tych filmach, w muzycznych dygresjach.

Kompozycja. Przepych, kolory, słodczy okapująca złotem, mokre sari. Budowanie opowieści w filmach Bollywood, jest bardzo podobne. Przeważnie, ktoś komuś opowiada historię, przeważnie całość zaczyna się jakąś piękną piosenką i układem choreograficznym, przeważnie bohater ma misję do spełnienia, przeważnie kochankowie nie mogą być szczęśliwi razem, dzieli ich zbyt wiele, pochodzenie, po-

¹ *Jako stała uczestniczka MFF Era Nowe Horyzonty, który dwa lata z rzędu poświęcił miejsce dla kina Bollywood pamiętam rozmowy widzów, których osobiste dzieło na kinomaniaków i tych, którzy żyją świętem kina, pozwalając sobie jedynie na oglądanie filmów Sukrowa, Bergmana, Tsukamoto, bo tak wypada i miło jest podać nazwiska sławne i uznane w świecie kinematografii.*



głądy, jemu się wydaje, że kocha inną, choro-
roba itp. Jednak najważniejsze w tym
wszystkim są *taneczne dygresje*. Muszę
przyznać, że czasem sama mam problem
z odgadnięciem tego, czy oni sobie napraw-
dę tak wyśpiewują uczucia, czy życiową
filozofię, jednak czynią to nad wyraz efektownie.
Można zapytać: co w tym jest ciekawego? Ale czy
nie jest imponującym to, że jedna scena, trwająca na-
wet 10-15 minut nie posiada ani jednego cięcia? W
tym czasie wszyscy tańczą, śpiewają, za każdym
razem nowi bohaterowie. Pomysły na nowe układy
taneczne zaskakują coraz bardziej, a widz wręcz cze-
ka na nową piosenkę i układ choreograficzny, który
w swojej kiczowatości daje prawdziwą przyjemność
odbioru. Nie mogę zapomnieć o mokrym sari, jest to
scena, która musi być w filmie Bollywood, a przy-
najmniej jedno z kochanków musi się wić na tle
wody, bez takiej sceny film byłby jak *Dynastia* bez
Alexis – nie do przyjęcia. Wierność gatunkowa
i kompozycyjna, całkowita przewidywalność, taniec
i śpiew, ale jest jeszcze jeden element, który prze-
mawia za tym, że Bollywood to kicz.

Aktorzy. Są niczym bogowie tyle, że ich świą-
tynią jest ekran, trudno uznać ich grę za grę aktorską,
raczej jest to wyrażanie emocji – strachu, gniewu,
miłości, radości. Podskakują, przewracają oczyma,
uśmiechają się, a mężczyźni płaczą (ciekawostka kul-
turowa – to jednak nie wstyd), przede wszystkim
tańczą i śpiewają. Bycie aktorem w Indiach wcale nie
jest tak proste jak w Europie, czy Ameryce, bycie
aktorem Bollywood wymaga prawdziwej kondycji,
ale nie ukrywajmy, że niejeden aktor, nawet zdobyw-
ca Oscara, może pozazdrościć popularności i sławy
indyjskiemu aktorowi. Jeżeli aktorka mówi, że nie
czuje się jeszcze gwiazdą, a zagrała już w 30 fil-
mach... Oczywiście nie należy zapominać, że Indie
to największa kinematografia świata (a my wciąż
żyjemy w micie Hollywood). Bycie aktorem Bolly-
wood, to bycie tancerzem i śpiewakiem, dysponowa-
nie kondycją atlety i ruchami kota, ale twarz aktora
jest rozpoznawalna zawsze i wszędzie, filmować
można go tylko za pozwoleniem, gdyż jest utożsa-
miany z bóstwem.

Jednak najważniejsze jest, jak widzowie z na-
szego kręgu kulturowego odbierają bollywoodzkich
aktorów. Dla nas też są to bóstwa, ale w zupełnie
inym znaczeniu. Mówiąc o Shah Rukh Khanie mogę
tylko użyć określenia boski, ale nie dlatego, że wy-
pisuje się w mój typ męskiej urody, ale jest On boski
z tego względu, że na ekranie trudno oprzeć się jego
urokowi, a potrafi zagrać wszystko, agenta SB,
ucznia, lekkoducha, biznesmena, księcia, nawet le-
śnego duszka. Ale zawsze pozostaje Shah Rukh Kha-
nem. To jest prawdziwa magia kina Bollywood.

Jest jedna spójna rzecz dla wszystkich wymie-
nionych przeze mnie elementów, która ożywia je
wszystkie i przyzwala na ten kiczowaty obraz. Mało

tego, podnosi go do rangi sztuki. Mowa tu oczywi-
ście o publiczności – kulcie kina Bollywood. Ogła-
dane w pojedynkę gdzieś w zaciszu własnego domu
stają się filmami, na których widz dobrze się bawi,
czasem uśmiechnie i generalnie jest zadowolony
z projekcji. Inaczej ma się sprawa gdy mamy do czy-
nienia z pokazem publicznym, gdzie widzowie re-
agują spontanicznie, emocjonalnie, gdzie wspólnie
podchodzą do kina Bollywood, jako do osobnego
gatunku, wybacząc mu swoje pompatyczne zagra-
nia, zgilek i to, że Shah Rukh Khan zawsze musi być
boski. A wiem co mówię, gdyż miałam okazję uczest-
niczyć w kilku projekcjach kina Bollywood, gdzie
emocje można wyrażać bez skrępowania, a nawet
największy kicz w tańcu, tekście piosenki, minie ak-
tora, jest przyjmowany jako coś naturalnego i zgod-
nego z konwencją. Owszem wzbudza śmiech, ale nie
jest on szyderczy, prześmiewczy, wulgarny i sarka-
styczny, ale wyrozumiały i radosny. Kicz Bollywo-
od pozwala na doskonałą zabawę, śmiech nie jest wy-
mierzony w to co na ekranie, ale przede wszystkim
w naszą kulturę. Bo inaczej skąd wiedzielibyśmy, że
jest to kicz? Musimy mieć porównanie do naszej *nor-
malności*. Ale wróćmy do samych projekcji filmów,
bo jest to iście socjologiczne i kulturoznawcze zja-
wisko. Przed projekcjami każdy, kto tylko ma ochotę
może tańczyć do piosenek z filmów. Na początku
wyszło to na tyle spontanicznie, że na następnych
projekcjach niektóre dziewczyny przyniosły ze sobą
sari (do teraz nie umiem sobie odpowiedzieć na py-
tanie skąd je miały)². Bollywood przenikało z ekr-
anu do świata realnego, czy był to też kicz, czy kicz-
owaci byliśmy my, tańczący nieudolnie układy chore-
ograficzne, czy był to kicz w odbiorze? Na pewno
była to dobra zabawa i spontaniczna reakcja. Nie było
tu miejsca na wstyd i strach przed wyśmianiem, była
czysta zabawa, ale wspólne piski, krzyki: *wow!* gdy
pojawiał się Shah Rukh Khan. Świadomość kiczu
Bollywood pozwala w pełni zrozumieć czym kicz jest
– sztuką szczęścia.

Nie da się ukryć, że Bollywood jest kiczem,
Słodkim i złotawym kiczem. Ludzie wstydzą się ki-
czu w swoim życiu, może dlatego ma tak wielu wro-
gów wśród *koneserów* kina. Wydaje mi się, że gatu-
nek ten, który nawet w Indiach zaczyna przechodzić
swoje metamorfozy, bo znudził się odbiorcy, pomi-
mo zmian w fabule, udoskonalień w formie (dosko-
nałe dygresje filmowe w *Jestem przy Tobie*), zawsze
pozostanie wierny swojemu jestestwu – kiczowi. Jed-
nak chyba lepszy jest kicz świadomy.

² Opisane przeze mnie wydarzenia miały miej-
sce na 5. FF ENH w Cieszyńcu w roku 2005. Rok później
już we Wrocławiu na 6. MFF ENH z przyczyn technicz-
nych tańczenie było niemożliwe, ale pozostała sponta-
niczna i prawdziwa reakcja.



kicz

błogosławiona codzienna piesza pielgrzymka na targ
 błogosławieni spoceni, nieustający w liczeniu pielgrzymi
 błogosławieni spulchnieni ciepłym deszczem i wypieczeni słońcem
 znajdujący przyjemność w targowaniu bez celu zakupu
 błogosławiona bezkształtna, chaotyczna siła motłochu, paraliżująca
 ruchy i poniewierająca słabszymi niczym wir rzeczny
 błogosławieni ci, którzy w spiekocie pokonują kilometrowe korytarze
 labiryntu targu, oglądający wszystkie towary
 błogosławione wydawanie pensji i błogosławiony zakup po niskiej
 cenie
 błogosławione targowanie, zbijanie ceny i dwustronne uśmiechy
 na twarzach sprzedawców i kupujących
 błogosławione klótnie przekupek o jakość towaru
 błogosławiony obrót tandetą i zbijanie fortuny na bezmyślności
 i nijakości gustu i dobrego smaku
 błogosławione podobieństwo modelowej rodziny przyrodzianej w białe
 koszulki z napisem adidas
 błogosławiona identyczność akrylowych sweterków szesnastoletnich
 dziewczynek, ich mamus i ich siostrzyczek
 błogosławiona produkcja mody bazarowej
 błogosławione przeterminowanie napojów, ciepłota i wygazowanie
 mirindy
 błogosławione zgniłe owoce i nadgnite warzywa sprzedawane po
 okazjonalnych cenach
 błogosławiony cukier zarobaczony i cementowe worki mąki z pak
 wielkich samochodów dostawczych
 błogosławione produkty chemiczne, po których skóra nie łuszczy się
 a stan łupieżu się nie pogarsza
 błogosławieni złodzieje korzystający z roztargnienia dokonujących zakupu
 i ciasnych przestojów między budkami z muzyką disco polo
 błogosławiona budka z grillem i zaduch gorący pieczonego kurczaka
 w upalny dzień letni
 błogosławione wreszcie zmęczenie, które każe wracać do domu
 błogosławiona nieświadomość zakupionego chłamu i satysfakcja
 z udanych zakupów
 a nade wszystko:
 błogosławieni, którzy widząc to piekło – wędrując oglądają,
 targując kupują,
 bywają okradzeni albo kradną sami,
 dusząc się są duszeni,
 wróciwszy do domów,
 na pergaminach dyskietek rzeczy widziane opisują
 albowiem sami opisani zostaną
 paweł lekszycki. doc. 29.06.02.

PAWEŁ LEKSZYCKI – po-
 eta, krytyk literacki, pedagog, re-
 daktor naczelny magazynu „Kur-
 sywa”.

P

O

E

Z

J

A

Nr 1 / 2007
 Str. 43 / 46





Anna Urgacz

CO SIĘ SMAŻY POD PATELNIĄ?

R
E
G
I
O
N
A
L
I
A

Nr 1 / 2007
Str. 44 / 46



Grudzień należał do Żalników. Mroczny klimat obrazów **Ewy Toczowskiej** nawiązał do tematu śmierci; żalniki czy też żale to niegdyś po prostu groby. Tajemnica z odrobiną metafizyki, stare zdjęcia, tudzież paputki czy papierowe aniołki, to bardziej kolaże. Naprawdę obiecująca twórczość. Ewa Toczowska z wyróżnieniem ukończyła ASP w Katowicach w 2006 roku. Ma na koncie kilka wystaw zbiorowych, ale w Patelni zaprezentowała się po raz pierwszy solo.

Styczeń to powrót do fotografii. Po 2 miesiącach przerwy, znów zawisły zdjęcia, i to niebanalne. „Fotografia pozwala mi nabrać dystansu do wielu spraw.



Ewa Toczowska (z kwiatkiem) – autorka Żalników z kuratorem galerii, grudzień 2006 r.

„Dzięki fotografii osławiam codzienność” – **Piotr Walski** [www.piotrwalwski.com] swoje prace wystawił pierwszy raz. Portrety wykonuje z niezwykłą wrażliwością, autentyzmem. To twarze ludzi, z którymi autor obcuje. W pracy, w rodzinie. Obok fotografii jego pasją są również podróże. Na wystawie można było dostrzec włoskie ślady. Oswajaniem co-

dzienności zachwycił się **Zbigniew Podsiadło**, znakomity fotografik z Sosnowca, przyjaciel Patelni 36. Kto wie, może wyniknie z tego jakaś współpraca?

W lutym zobaczymy malarstwo i grafikę młodziutkiej malarki z Sosnowca. **Justyna Czerniak**, uczennica II LO im. E. Plater, wychowanka pracowni rysunku u **Ewy Jędryk-Czarnoty** oraz **Andrzeja Czarnoty**, dwukrotnie ilustrowała tomik wierszy po turnieju „O Laur Plateranki”. Głównym tematem jej obrazów jest kobieta. *Ona jest czernią i bielą* potrwa do końca lutego.

1 marca początek kolejnej wystawy, tym razem makrofotografia. Listki, robaczki, motylki. To, co wiosenne, to, co prawdziwie piękne. Zdjęcia **Malgorzaty Miłaszewskiej** „posmażą się” jak zawsze 4 tygodnie. Autorka ukończyła studia metalurgiczne w Politechnice Śląskiej. W fotografii szczególnie bliski jest jej świat owadów. Dużo czasu poświęca motyloom, stąd tytuł jej pierwszej wystawy – *Metamorfozy*.

Na kwiecień planowany jest „import” malarstwa z Wrocławia. **Sławus Polonus** zaprezentuje swoje Anatomie, czyli Obrazy i inne efekty tego uboczne. Na wernisaż zapraszamy 29 marca, w czwartek, jak zawsze o godzinie 19.00.

Patelnia 36 to nie tylko wystawy. 24 lutego zapraszamy na „Maschinerie Alternativ Nite”, czyli pierwszą w Zagłębiu imprezę nurtu dark independent. Na zerowej, testowej edycji, podczas prawie 9 godzin muzyki, usłyszeć będzie można artystów, grających takie gatunki muzyczne, jak: psycho/gothabilly, goth rock, batcave, darkwave, industrial rock/metal, industrial, ebm, electro, synth/futurepop, goa/psytrance, powernoise, alternative rock/electronics, metal. Imprezę poprowadzi młody DJski zespół – PusyGang Team w składzie: Nadya, Kisur, N0N4M3.

Serdecznie zapraszamy

Stowarzyszenie Istota
Pub&Galeria Patelnia 36
patelnia36@onet.eu
Anna Urgacz – kurator galerii



OD WYDAWCY

Jesteśmy grupą studentów i absolwentów uczelni województwa śląskiego, którzy postanowili połączyć działalność charytatywną, kulturalną i edukacyjną z realizacją własnych pasji, oraz z umiejętnościami zawodowymi. Kierujemy się mottem uszlachetniając świat uszlachetniamy siebie. Pragniemy przybliżać mieszkańcom miast przemysłowych różne dziedziny humanistyki. W centrum naszego działania jest człowiek, istota

ludzka, stąd też nazwa Stowarzyszenia. „Istotą sprawy jest Istota ludzka” – czyli najważniejszy jest człowiek – jesteśmy ludźmi i do innych ludzi kierujemy nasze działania. Szczególnymi dla nas adresatami są trzy grupy: ludzie potrzebujący, ludzie pasjonaci różnych przejawów kultury, oraz ludzie kochający wiedzę i jej zdobywanie.

Stowarzyszenie Istota

www.istota.org, www.ystotny.prv.pl



*Na otwarciu wystawy fotografii Piotra Walskiego
Patelnia 36 pub & galeria, styczeń 2007 r.*

Od redakcji

Wszystkim zainteresowanym proponujemy współpracę. Teksty, grafikę, fotografie itp. przysyłajcie na adres: artanons@gazeta.pl. Ciekawe, oryginalne, mądre będziemy starali się publikować. Co z tego wyniknie? Zobaczymy. Pozdrawiamy i czekamy na wasze opinie, uwagi i pomysły.



PRZY KAWIE (dyskusja)	
KICZ JAKO SZTUKA SZCZĘŚCIA	2

LITERATKA

<i>Matylda Sęk</i> : DZIESIĘĆ W SKALI WYOBRAŹNI	6
<i>Tomasz Kostro</i> : DWIE RECENZJE	26

S P I S T R E Ś C I

POEZJA

<i>Paweł Sarna</i> : BEZROBOTNY LUCYFER	7
XIV TURNIEJ O LAUR PLATERANKI – wiersze nagrodzone. O Turnieju Dorota Nowacka	15
<i>Paweł Lekszycki</i> : KICZ	43

OBIEKTYW (fotografia)

<i>Małgorzata Miłaszewska</i> : ŚWIAT MOTYLI W OBIEKTYWIE	8
WKŁADKI I OKŁADKI	9

ART KOKTAJL (w okolicach sztuki)

<i>Małgorzata Stępień</i> : TATUAŻ W POLSCE	27
<i>Małgorzata Stępień</i> : WYDZIARAĆ DZIARSKĄ DZIARĘ – rozmowa z Tomaszem Ficem	29
<i>Kuba Gruchalski</i> : PARADOKSY KICZU	39

PROZA

<i>Iwona Sylwia Sypień</i> : DZIEŃ	38
--	----

TRĄBKA EUSTACHIUSZA (muzyka i okolice)

<i>Łukasz Woźny</i> : PRAWIE JAK ZIN	36
--	----

OKIEM KRYTYKA (film)

<i>Jakub Ziobroń</i> : MILLERS CROSSING	23
<i>Matylda Sęk</i> : TAM GDZIE PANUJE CIEMNOŚĆ ZAWSZE PANUJE STRACH	34
<i>Joanna Skiba</i> : SŁODKO I BOSKO	41

DESKI (teatr)

<i>Karolina Siemiacka</i> : RYTUALNY TRENING AKTORA KATHAKALI	20
<i>Ilona Kula</i> : PRZY STOLE (dramacik rodzinny)	32

REGIONALIA

<i>Tomasz Kostro</i> : Paul Godwin – zapomniany chłopak z Sosnowca	22
<i>Anna Urgacz</i> : CO SIĘ SMAŻY POD PATELNIĄ ?	44

SUBIEKTYW (felieton)

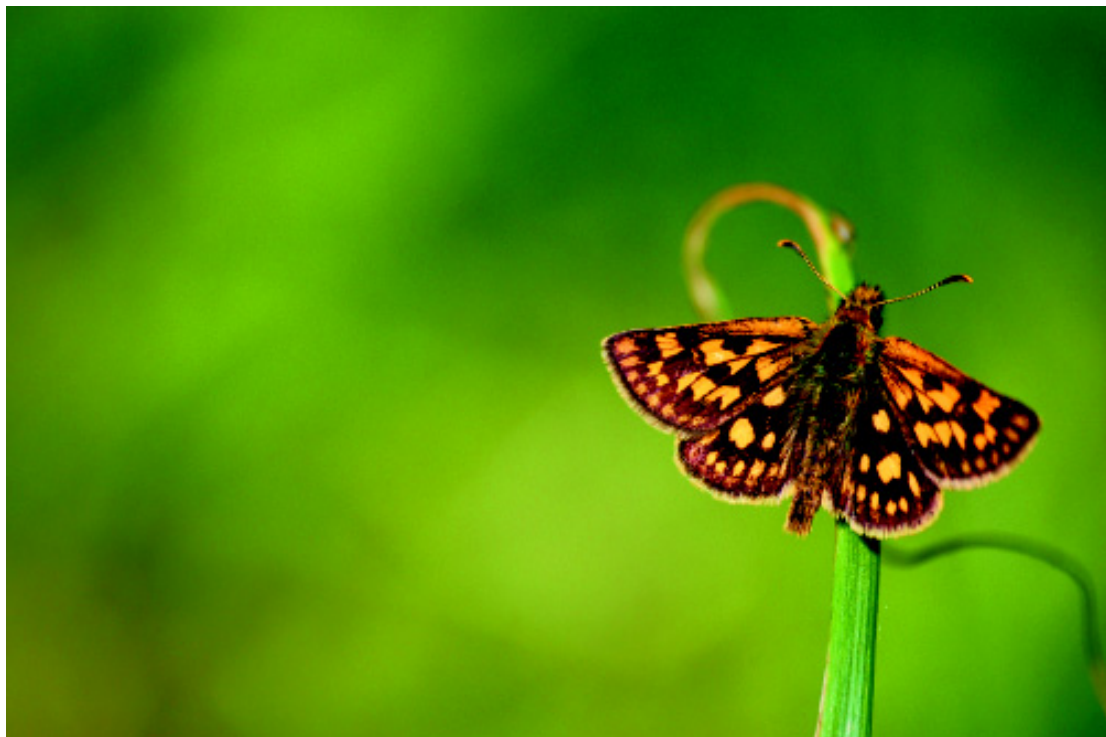
<i>Włodzimierz Wójcik</i> : PROWINCJA? ŚWIAT SKŁADA SIĘ Z PROWINCJI	10
<i>Joanna Skiba</i> : Z PRZYGÓD FILMOZNAWCY: DO KINA CZY NA FILM	11
<i>Jakub Ziobroń</i> : Pustelnia na godziny	13

OD REDAKCJI	45
--------------------------	----

+ 4 wkładki

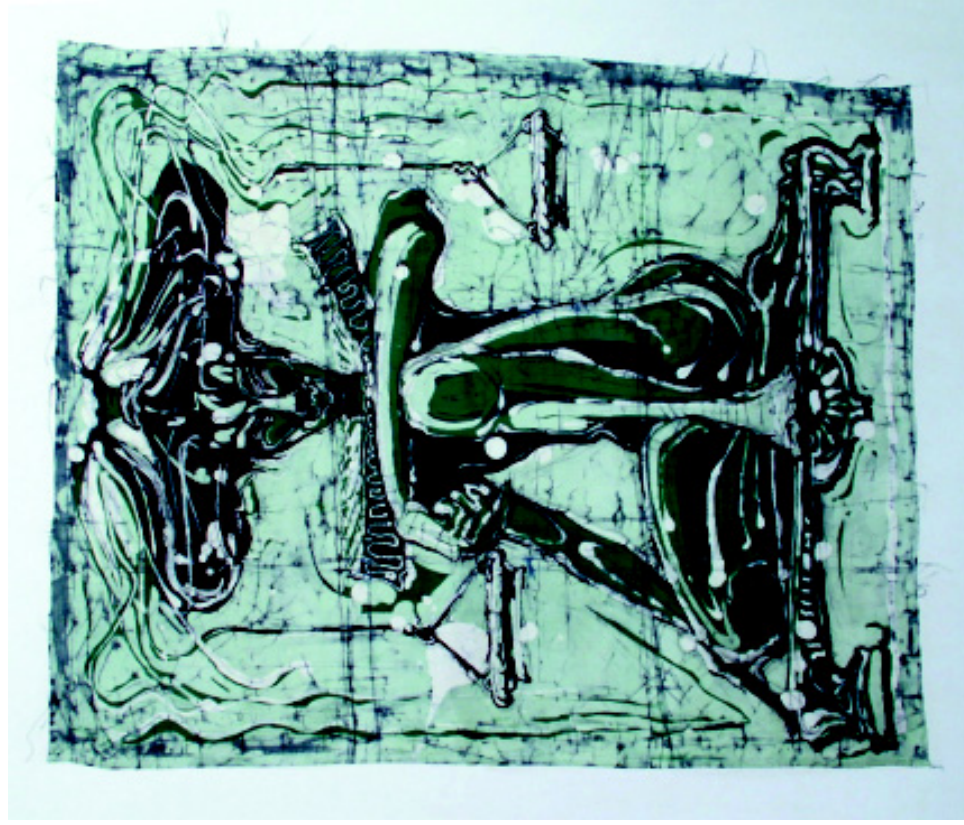


Pastele – Czesław Gałuszny





Metamorfozy – Małgorzata Miłaszewska



Batiki – Leszek Szymczyk





ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Matylda Sęk – Redaktor naczelna

Tomasz Kostro

Małgorzata Stępień

Anna Urgacz

Sebastian Leśniak

Współpraca: **Jakub Ziobroń**

Kontakt e-mail: artanons@gazeta.pl

Wydawca: Stowarzyszenie ISTOTA w Sosnowcu

www.istota.org www.ystotny.prv.pl

ISSN 1897-2330

Druk: WDR **PROGRES** ul Kresowa 1, 41-200 Sosnowiec

Pismo ukazało się dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Miejskiego w Sosnowcu